№ 25 Warszawa, dnia 9 (21) Czerwca 1879 roku.



I POWIEŚCI.

Z DODATKIEM ILLUSTROWANYM UBRAŃ I ROBÓT KOBIECYCH.

PRENUMERATA WYNOSI:

W WARSZAWIE kwartalnie rs. 1 kop. 80.—Z przesyłką pocztową w Cesarstwie i Królestwie, kwartalnie rs. 2 kop. 50. Numer pojedynczy kop. 15. Przedpłata dla GALICYI wynosi we LWOWIE w księgarni GUBRYNOWICZA i SCHMIDTA kwart. w miejscu złr. 3. na prowincyi z przesyłką pocztową złr. 3 c. 80. W KRAKOWIE w księgarni GEBETHNERA i S-ki kwart. w miejscu złr 2 c. 75 na prowincyi złr. 3 c. 50.—w POZNANIU prenumerować można w księgarni LEITGEBERA i S-ki kwart. w miejscu prenumerata wynosi marek 5, na prowincyi z przesyłką pocztową marek 6. Listy i przesyłki pieniężne adresować prosimy Do J. K. GREGOROWICZA w Warszawie, przy ulicy Chmielnej Nr 1530 (nowy 20).

JÓZEF IGNACY KRASZEWSKI
w literaturze i społeczności naszéj.

(Dalszy ciąg).

W tym czasie począł pisać i drukować w Wilnie Kraszewski pod pseudonimem Kleofasa, Fokunda Pasternaka. Pisma te nosiły na sobie napis: *szkic fantastyczny*, począwszy od *Pana Karola*. Pierwszem dziełem, był *Pan Walery* (1831 r.) praca dziecinna prawie, materyały do niéj zbierał autor jeszcze na ławie szkolnéj w Biały; *Wielki świat małego miasteczka*, (1832 r.) był dziełem niby w rodzaju Szterna; praca ta była znacznie lepszą; znać w niéj było studya z natury, talent mały, ale dość wyraźny; uderzała głównie rzetelność, swojskość materyału, do czego utorowali byli u nas drogę Aleks. Fredro i Skarbek. Nie było to jednakże naśladowanie; owszem, jakkolwiek prace te były słabe, znać w nich było własną manierę przyszłego mistrza.

Pan Karol (1832) uległ już widocznie wpływom nowéj literatury francuzkiéj, razem Juliusza Janina i Pawła Kock'a; był to już szkic fantastyczny, a fantastyczność ta zakrawała bardzo na karykaturę. Krasz. chciał być tu dowcipnym, ale mu się to nie udawało jakoś, dowcip raził nieskromnością, fantastyczność była nonsensem, widoczny był brak znajomości życia, konceptu w pomyśle powieści mało, styl był niewyrobiony, widocznie była to praca bez rozmysłu poczęta, rzucona od niechcenia; pomimo to jednak znać było zawsze talent, choć bardzo drobny. Panna Hermenegilda, pan Sędzia, pan Podsędek, jakkolwiek wystawieni w karykaturze, czasami potrafili rozśmieszyć czytelnika, za to sam pan Karol był wierutnym dziwolągiem. Lepszem już daleko dziełem był *Kościół Ś-to Michalski* (1833 r.) obraz historyczny z pierwszéj połowy XVII wieku; talent tu większy, więcéj tu znać studyów, chociaż i tu przebija się często ów *à la* Paweł Kock, skutek może owego ducha ówczesnéj młodzieży wileńskiéj, o którym było wspomniano wyżéj. Scena w lochach kościoła przypomina wpływ nowéj szkoły francuzkiéj. *Ostatni rok panowania Zygmunta III*, wydany w tymże roku (1833) jest w tymże rodzaju; strona historyczna słaba.

W tymże roku Kraszewski, dla chleba zapewne, uległ namowom księgarza F. Glücksberga i wziął się do tłomaczenia wszystkich dzieł Pawła Kock'a. Skończyło się tylko na dziele *Dom biały* (1833). Wiemy z dzieł poety (Poeta i Świat, Powieść bez tytułu) jak opłakaną była pozycya pisarza w Wilnie; potrzeba było prosić żydków, nakładców żeby raczyli co wydrukować, a jeżeli tacy panowie jak Zymel i Manes, jak Dworzec dali za powieść sto złotych, to interes uważał się już za świetny. Eksploatowano tak samo talent Kraszewskiego. Tak chciano zmarnować siły jego podsuwając mu przekład dzieł Kock'a, a nawet układanie *słowników*. Jakkolwiek ostro odezwała się krytyka współczesna o pierwszych płodach Kraszewskiego, przecież kiedy Kuryer Litewski, ogłosił (1833 r.) prospekt na tłomaczenie kompletnych dzieł Pawła Kocka piórem Kraszewskiego, Tygodnik petersburski, oburzył się był na marnowanie tyle obiecującego na przyszłość talentu. Może dobrem było dla Kraszewskiego, że przeszedł on w młodości, jak wszyscy prawie wielcy ludzie i to wszystkich czasów prawie, ogniową próbę niedostatku, w któréj tak potężnie hartuje się dusza człowieka, a przeszedł on ją z chlubą, pogodnie, z uśmiechem na ustach. W dziełach Pasternaka widzimy i uśmiech i dowcip, a co większa widzimy pewność siebie, pewność lepszéj przyszłości. Zapewne mógł był autor nasz wiele z tych próbek pozostawić, jako prawdziwe *próby pióra* w tece, ale marząc o sławie pisarskiéj; konieczność zmuszała myśléć i o chlebie. Monti, zdaje się powiedział: *ma la fama, ma il fame*! Pierwszem dziełem Kraszewskiego, w którem wyraźnie objawił się talent i dowcip, które zajęło i ubawiło czytelników, w których figury wyszły jak żywe na płótnie, jest jego dziełko p. t. *Cztery Wesela*. Od niego poczyna się właściwie wziętość naszego pisarza, od jego ukazania się poczęto dopytywać się o nowe jego dzieła i kupować je, nikt się już niemi nie znudził, ale ubawił. Sam Kraszewski, w czem najlepiéj okazuje się jego wysokie powołanie, nie był wcale zaślepiony na wady swoich płodów; owszem widział on je doskonale i sądził surowo. W *Wędrówkach literackich, fantastycznych i historycznych*, w artykule *o różnych rzeczach*, pod napisem: *video meliora, proboque deteriora sequor*, sądzi on sam, może nawet nazbyt surowo, pierwsze prace swoje. Tak jak fakt podobny niesłychaną jest prawie rzeczą w dziejach pismiennictwa, nieodrzeczy więc będzie podać tu niektóre wyjątki z téj auto-krytyki naszego pisarza, jako przykład, a bardziéj jeszcze *jako naukę* dla poczynających pisarzy. „Byłem bardzo młody i nadto młody, kiedym zaczął pisać. Wyobraziłem sobie dziecinnie, że dość jest chcieć, ażeby zrobić dobrze, wyobraziłem sobie, że przeczułem świat i ludzi, bo znać ich nie mogłem. Pisałem więc.

„Z początku mi odradzano, potem śmiać się zaczęto. I w istocie było czego. *Pan Walery*, którego drukowałem pod obcem nazwiskiem śmiesznem (które Bóg wie ile mi przykrości narobiło), pan Walery jest nieforemną rapsodią, w któréj chciałem gwałtem mieć dowcip, a w istocie napakowałem tylko frazesów. Potem nastąpił, zawsze przez Pasternaka nie przeze mnie pisany, *Wielki świat małego miasteczka*, pisemko trochę zgrabniejsze, pod względem układu, bez myśli jednakże, z najgłupszem jak być może rozwiązaniem, w którem imagi-

nacya wyraźnie jest torturowaną, żeby coś urodzić, i rodzi tylko same słabe kopie. Nie dziwi mnie wcale, że byli tacy, którzy chwalili tę książeczkę w jakiejś gazecie: interes księgarza wymagał tego. Potem już niby mocniejszy, śmielszy, odważyłem się na *Kościół Ś-to Michalski*, w wielu miejscach fałszywy, co do badań historycznych o Wilnie, lepszy co do wykonania, ale równie bez planu zupełnego jak poprzednie próby. Po kościele spadłem na drugi, daleko gorszy obraz historyczny, nudny i źle napisany, a pisany daleko wprzód od kościoła, chociaż drukowany później. Będę miał sobie długo do wyrzucenia, żem go drukował. Na co się to zdało, kiedy niezabawne i nienauczające? Pan Karol wystąpił po tem wszystkiem. Ułożyłem go, napisałem, przepisałem, we trzy tygodnie, wśród których inne jeszcze miałem zatrudnienia. Tak mało wypracowany, chociaż więcéj ma ciągu i myśli. chociaż żywiéj interesuje, choć wielu się osobom będzie zdawał wcale oryginalnym, plan jego jednak tak już jest stary, jak wszystkie don Juany. A przy tem wyrzucano mi nadto gruby, często nieprzystojny sposób obrabiania rzeczy, któreby się grzeczniéj i przystojniej powiedzieć dały. Nie przyjmuję tego zarzutu co do rozmów, bo te dla naturalności musiały być w całéj swojéj naiwności wypisane, ale co do opisów. Zresztą charaktery są przesadzone i nienowe.“ Na takie zdanie wyrozumiałe o Panu Karolu, pewno by dziś Kraszewski sam się nie zgodził; nie było tam bowiem, ani charakterów, ani pretensyi do ich nowości; pisało się byle co napisać. Za to dla *czterech wesel* sam autor jest może za surowym. *Cztery wesela*, powiada, jakkolwiek nie wypracowane, lepsze są pewno od wszystkiego co je poprzedziło, przynajmniéj w moich oczach. I nie jest to uprzedzenie autorskie, wszak mówię com zrobił złego. Zresztą daję moje zdanie nie jako dobre, ale jako moje. W czterech weselach mniéj jest przesady, dosyć ciągu i życia wiele. Nie bez tego jednak, żeby i w nich wiele do krytyki i śmiechu nie było. A najprzód, co znaczy zemsta P. Hilarego, jego obejście się z pierwszą i drugą żoną? Potem Adolf, nie jestże zanadto głupi i słaby, a Julia zanadto niecnotliwa? P. Aleksy nie jestże karykaturą? Krytyka słyszna, ale był to zawsze *szkic fantastyczny*, a fantazyi, a zwłaszcza fantastykom wszystko wolno, tak przynajmniéj sądzono wtedy. To pewna, że to ostatnie dzieło nie może iść w porównanie z poprzedniemi, a nawet rozpoczyna nowy szereg pism autora, bo już wyszło nie pod pseudonimem Kleofasa, Fokunda Pasternaka, ale autor oznaczył go swoją własną cyfrą J. K. *Improwizacye* (dla moich przyjaciół, książeczka do zapalania fajek), pisane bez poprawek do druku, tem są złe, że są niepoprawione, potem, że ton panujący w nich, jak w P. Karolu, słusznie niektórym osobom zanadto grubym się zdaje. Artykuł o osłach jest nic nieznaczący, o dyabłach niekompletny o gryczanéj kaszy bez sensu. Nie potrzebna jest fantazya niedokończona ostatniego artykułu o pannie chorążance. Ach! zawołają czytelnicy, czemużeś sobie tych uwag przed drukowaniem nie zrobił? Czemuś nie poprawił, nie wygładził, nie okrzesał Oi moi mili panowie, gdyby to warto było tyle pracy, pewnobym jéj nie odmówił. Dawniéj strojono pieczyste w pióra ptaszków i kwiatki, dziś je nie stroją, a i dawniéj i dziś dobre pieczyste jedzą, a złego nie chcą, chyba głodni. Z tego cośmy tu wypisali poznajemy charakter naszego autora: poznał się on na sobie, a przeto pewien siebie, pewien swojéj przyszłości, znający przeszłą swą słabość, ale czujący w duszy swą siłę, a w mózgu cały świat idei, które z niego kiedyś wyjść miały na świat. Z téj doby datuje jego pieczątka, na któréj był wyryty nów księżyca po za chmurą, z napisem łacińskim: *parva sed crescens*, mały ale rośnie. Z takiem poczuciem siebie samego, z takim zapałem, z taką pracą, można było iść naprzód, śmiało, nie oglądając się po za siebie i tak właśnie postępował Kraszewski po swojéj drodze, która go miała kiedyś zaprowadzić daleko, wysoko i postawić u szczytu tryumfów i tych owacyj. jakie go dziś, u nas spotykają. Ale wracamy do rzeczy. Przy wystąpieniu swojem pisarskiem miał Kraszewski w Wilnie swoich przyjaciół i zawistnych sobie. Inaczéj być nie mogło, taka już jest zwykła kolėj naszego świata. W *Powieści bez tytułu* wspomina Kr. o profesorze Hipolicie, który zdaje się wskazywać na Leona Borowskiego. Ten pielęgnował młody talent zachęcał do pracy, zasilał radą. Drugim duchem czarnym, obok tego dobrego, białego ducha, był profesor Szydłowski, występujący w powieści pod imieniem Iglickiego. Ten chłodny, zużyty sceptyk, drwił sobie nielitościwie z młodzieńczego talentu, gotów pisać o wszystkiem i *pro* i *contra*, kiedy go o to ładnie poprosił. Ale wyrocznią literacką owego czasu, był u nas Tygodnik petersburski, pismo które się z czasem wyrobiło na wcale dobre pismo, a wyrobiło się ono pod opieką i przy kollaboracyi samegoż Kraszewskiego; ale za czasów jeszcze jego wystąpienia na pole pracy literackiéj, w Wilnie, było to sobie pismo chude i puste, w którem dawano artykuły traktujące o literaturze z łaski, tłumaczono ustępy z romansów francuzkich, przekładano artykuły, i to bardzo rzadko, z przeglądów francuzkich, tak jak to robiono u nas wszędzie. Podźwignięcie się piśmiennictwa polskiego należy się głównie Kraszewskiemu, za jego dopiero przykładem poczęli pracować Tyszyński i M. Grabowski. W tem była najpierwsza zasługa naszego autora. Otóż krytyka w Tygodniku Pet. do jego czasów była najprzód w ręku samego wydawcy, który, jakby z łaski, odzywał się czasami ze zdaniem własnem w piśmie przez siebie redagowanem, zwyczajnie zaś zastępował go w tem, pan T. B. (Teofil Bukar), w którego krytykach wiele było słów, frazesów szumnych, nieraz bez żadnego sensu, często zupełnie śmiesznych, ale rzeczy mało. Jakkolwiek bądź w piśmie tem zarzucano słusznie Kr. chęć do dowcipkowania. Rzeczywiście talent jego, w początkach, był maluczkim, tak drobnym jak owe ewangeliczne ziarnko gorczyczne, nikt nie przeczuwał tego jednakże, nie odgadł, że z tego maluczkiego ziarnka rozrość się miało kiedyś drzewo i to drzewo tak wielkie, tak bujne, że do niego przytuli się cała przyszłość literatury naszego kraju. Prawda, że czytając pierwsze próby Kr. trudno jest, dziś nawet uwierzyć temu, iż wszystko to wyszło było z pod pióra naszego autora, tak to wydaje się nam słabe, mdłe, a nieraz i nudne, ale dostrzega się w nich razem, coś męzkiego, jest tu jakaś moc, jakaś siła wewnętrzna ducha przybywała mu ustawicznie niezmordowaną pracą nad sobą, coś go ciągnęło naprzód i naprzód. Rósł on jak ów bohater bajek słowiańskich nie miarą lat, a miarą godzin. Świetnéj przyszłości Kr. nie przeczuł, nie odgadł wprawdzie żaden krytyk, widziano jego strony słabe, a nie widziano silnéj podstawy jego talentu; ale wpływowi zdrowego sądu wydawcy Tygodnika należy przypisać tę główną zasługę, że pożałowano jego, acz drobnego na pozór talentu i odradzono mu tłomaczeń lichych tłomaczeń z francuzkiego i Kraszewski wziął się do samodzielnéj pracy, wziął się do rozmyślnego badania sztuki, a może téż począł się zastanawiać nad naturą własnego talentu. Zbierał się on z siłami, gromadził zapasy wiedzy, krzepił ducha, studyował wzory. Gdyby mnie nie pomówiono o czczy retoryzm, powiedziałbym o Kraszewskim, że on jak Cezar, jak Napoleon czuł w sobie wielką missyą, widział w dali wielką przyszłość swojego zawodu pisarskiego; zrozumiał on, że od niego zależało nadać kierunek piśmiennictwu i społeczności i że dla dokonania tego potrzebne są, nie szkice fantastyczne, nie naśladowania Hofmana i Jana Pawła, albo Juliusza Janin'a, ale studya z natury *swoich* ludzi, *swojéj* społeczności, potrzebne jest zrozumienie własnych *typów*. Nieodrazu zapewne można było przyjść do tak wielkiego celu; padał on nieraz jeszcze, to prawda, ale padał jak Proteusz, a ilekroć w upadku swoim uderzył się o grunt rodzinny, tylekroć powstawał na nogi z większą niż wprzódy, ze *świeżą* siłą bohatera ludowéj baśni. To go namaściło głównie na pisarza pełnego wpływu, na ulubieńca ogółu, jakkolwiek nie pochlebiał mu wcale w swoich powieściach, chłoszcząc w nim wady, odkrywając w ogóle nieraz śmieszne jego strony, rozpowijając go gwałtem z szychowych łachmanów cudzych naleciałości, aby odkryć w nim w końcu ogólno ludzkie podstawy społeczne. Powieść Kraszewskiego rosła coraz więcéj, poważniała i wyrosła nareszcie na potężne dzieło sztuki, na dnie którego spoczywają wielkie, poważne idee.

Cały zawód literacki Kraszewskiego dałby się dość dobrze podzielić na cztery okresy: 1-ód na okres pobytu jego w Wilnie, 2-re na okres działalności jego na Wołyniu, po 3-cie na okres redaktorski w Warszawie i po 4 te, na okres pobytu za granicą.

Najprzód bierzemy pod rozwagę ów pierwszy okres jego życia, okres wileński, okres pierwszéj jego młodości, w którym autor nasz jakby zrywał się dopiero do lotu, chcąc działać i nie wiedząc sam dobrze od czego ma zacząć, okres w którym nie wyklarowała się jeszcze należycie świadomość jego ducha, w którym rzuca się na wszystkie strony, aby tylko mógł zużyć, w jakikolwiekbądź sposób tę siłę moralną, jaka go ożywia i prze potężnie na zewnątrz, tak do czynu, jako i do wyrozumienia siebie samego, swojego zadania. W téj mierze za najlepszy materyał posłuży nam jego własne zwierzenie się, jakie znajdujemy w jego *Powieści bez tytułu*. Najsamprzód odbijają się tu jego zapasy z niedostatkiem do powszedniego, materyalnego życia. Ztąd poszedł jego pseudonim Pasternaka, w którym wyraził stan swojéj golizny, mówi się bowiem u nas o człowieku ubogim, że jest goły jak *pasternak*. Pseudonim ten nazwał on potem *śmiesznym*, niemniéj przeto był on dla niego w swoim czasie równie bolesnym, wyrażając stan taki, jakim był kiedyś, w innym kraju, stan Gilberta lub Czattertona. Z tegoż samego źródła dowiadujemy się, że zawód pisarski, nie prowadzący w owe czasy do niczego, chyba oprócz tylko do jednéj nędzy, niemiłym był dla własnéj jego rodziny, poglądającéj na życie ze strony praktycznéj, ze strony zysku. Wyobraził siebie samego w postaci Stanisława Szarskiego; pokazał tam jak daleki krewny jego bohatera, inny Szarski, człowiek majętny, pnący się do arystokracyi, miał mu to za złe, że on podpisując się jego imieniem rodowem na swoich dziełkach, profanował tem jego stary klejnot szlachecki.

Rzeczywiście u nas imię rodowe uważało się za coś świętego, którego nie godziło się pospolitować, wspominać nadaremnie, dlatego każdy szlachcic miał jakiś tytuł koniecznie, chociażby fikcyjny, byle tylko nie był nazywany po nazwisku jak jaki ekonom. Słyszałem o tem, że ojciec naszego autora, czytając dzienniki i znajdując w nich ustawiczne wzmianki o Kraszewskim, rzucił niechętnie, z gniewem numer pisma, mówiąc z goryczą do swojego

syna: „ach! Józefie! Józefie! jak się nasze poczciwe imię szlacheckie poniewiera przez ciebie po gazetach!“ Gdyby zacny staruszek dożył był do naszego czasu, gdyby był doczekał się tak chlubnéj owacyi dla swojego syna, stałby się może więcéj wyrozumiałym i dla niego samego i dla jego szlachetnego zawodu. Jakkolwiekbądź jest to już niewątpliwym faktem, że w owe jeszcze czasy zawód *pismaka*, *gryzipiórka*! człowieka piszącego z profesyi, był zawodem jakiegoś Pariah'a indyjskiego. Taki był stan umysłowy naszego ogółu ale jeżeli dziś jest już inaczéj, jeżeli praca umysłowa uszlachetnia i podnosi ludzi, winni to jesteśmy postępowi moralnemu ogółu, który został pchnięty na tor myśli, to inicyatywa do tego głównie należy się najniezawodniéj usiłowaniom samego Kraszewskiego. Dawniéj wolno było być dylettantem, a niewolno było być literatem *z profesyi*. Literatura z powołania plamiła togę polskiego *obywatela*. Z tym przesądem długo potrzeba było walczyć, osobliwie samemu Kraszewskiemu. Zobaczymy to niżéj.

Ponieważ szlachcic na zagrodzie uważał się być równym wojewodzie, nie mógł zejść, poniżyć się do jakiegoś gryzmolącego wiersze mieszczucha, mówię wiersze, bo wtedy, kiedy ktoś wspomniał o książce, to szlachcicowi wiejskiemu zaraz przychodziły na myśl *wiersze*. Taka już tradycya dochowała się u nas, może jeszcze od czasów jezuickich, w których cały rezultat nauki szkolnéj skupiał się zwykle w mętach rozbujałych fluktów wierszy, po których korab mądrości schylał się lub wznosił. To pewna że po naszych wioskach panowała okropna zaducha i cymmeryjskie ciemności, a jeżeli gdzie było więcéj trochę świeżego powietrza myśli, trochę światła, to postęp ten należał się w ogóle płci niewieściéj, a nie mężczyznom. Otóż Kraszewski, doświadczywszy na sobie skutków tego obskurantyzmu, uzbroił się przeciwko niemu i począł działać sarkazmem, nauką, powieścią, przykładem własnym, zachętą, wszystkiem, byle tylko dopiąć w końcu swojego. Nieraz wołał on jak ów Greczyn, bij, ale wysłuchaj, tak on wołał: łajcie mnie, śmiejcie się ze mnie, ale czytajcie! Wstyd nic więcéj nie czytać oprócz kalendarza! Szczycicie się obywatelstwem waszem, a pogrzęźliście w ciemnocie! Poglądacie z góry na mieszczuchów, a ci was wkrótce w kąt zapędzą! Wiek nasz jest wiekiem światła i postępu! Ustawicznie poruszał on tę główną, bo tyle żywotną kwestyą. W powieści ciągnął pod pręgierz takich pp. *Ciemięgów*! których żony i córki więcéj znaczyły w domu niż oni, bo więcéj od nich czytały, umiały i myślały. W Marylce Brzeźniakównéj, nawet w Sarze żydówce, przedstawił otwarte głowy, w których dobry siew światła łatwiéj daleko przyjmował się i krzewił niż w głowach mężczyzn, którzy chodzili wprawdzie do szkół, ale powracali z nich do domu dlatego tylko jedynie, aby tam z ich głowy wywietrzało w końcu wszystko, czego byli trochę liznęli, a wywietrzało to pod wpływem tradycyjnéj stagnacyi, lenistwa, ospałości i ciemnoty odwiecznéj. Potrzeba było przewietrzyć tę wiekową zaduchę, potrzeba było koniecznie *począć*, wreszcie dać dobry przykład z siebie, poruszyć nareszcie ten grunt jałowy, bo nietknięty od kilku pokoleń pługiem myśli, ale nikt nie poczynał, nikt nie dawał tego dobrego przykładu, nikt nie myślał poruszyć téj nietkniętéj gleby próżniactwa zastarzałego i sukcesyjnéj ciemnoty.

Przykład kobiet nic tu nie działał, bo u nich samych brakło jeszcze pojęcia o *misyi* krzewienia dokoła myśli i światła. Potrzeba więc było koniecznie apostolstwa, *poczucia potrzeby* uczenia się; należało nareszcie wybić z głowy ten nieszczęsny przesąd, że ukończywszy ladajako ladajakie szkoły, już się robi ostateczny rozbrat z książką i to na całe życie. Apostolstwo światła wziął więc na siebie Kraszewski i apostołował u nas przez pół wieku. Dziś możemy przypatrzéć się skutkom jego gorliwych zabiegów i ustawicznéj pracy.

(*d. c. n.*)

DUET NA PODDASZU.

(**Obrazek powszedni**).

Dwie stare, wązką ulicą oddzielone kamienice. Na poddaszu w małéj, nizkiéj i źle oświetlonéj izdebce młoda jeszcze, lecz blada, chuda i przedwcześnie zwiędła kobieta, pospiesznie szyje przy okienku. Na przeciwnéj stronie również na poddaszu w takiéj że izdebce podstarzały, kaszlący mężczyzna stoi przy tokarskim warsztacie, i obracając koło, pilnie toczy. Przez otwarte okienka słychać śpiew:

PIOSENKA JĘJ.

Strumień życia mego płynie
Śród ponurych skał;
Twarde łoże w rozpadlinie
Srogi los mu dał...

Nie masz kwiatów, ni zieleni
Na przepaści dnie;
Tylko strumień się mój pieni
I co chyżéj mknie...

Fala jego się roztrąca
O kamienny brzeg;
Nie oświetla promień słońca
Jéj samotny bieg...

Smutno ciasno i ubogo...
Nad przepaścią mgła,
A w niéj ciemno i złowrogo,
Zła ma dola zła...

PIOSENKA JEGO.

Dzień za dniem upływa
Posępnie, ponuro,
I życie ubywa
Owiane wciąż chmurą...
Napróżno spoglądam
Przez szare tumany,
I czekam, i żądam
Zbawiennéj odmiany...
Nie widać promyka
Rzeźwiącej nadziei,
Nie słychać słowika
W rodzinnej méj kniei
I tylko się kłębi
Myśl moja bez końca,
A serce mi gnębi
Tęsknota paląca...

Świat jednak nie stoi,
A bieda nie pieści;
Łza cierpień nie goi...
To oręż niewieści...
Żyć trzeba, jeść trzeba,
Więc naprzód, a raźniej!...
Do pracy dla chleba
Los wzywa wyraźnie...
Więc dalej, a daléj
Bez łez i uśmiechu,
Choć w piersi ból pali
I braknie oddechu...

Dr. Rudolf Rożniatowski.

FLAMINIA.

POWIEŚĆ

przez

Jana Zacharyasiewicza.

(**Dalszy ciąg**).

XXI.

Wreszcie po kilku tygodniach wyzrowiała Flaminia, o tyle, że mogła w szczelnie zamkniętéj „fenze“ przejechać się na gondoli. A dni były jakby umyślnie dla niéj tak piękne i ciepłe, że nawet wcale zimy nie przypominały, chociaż to już było w początkach lutego.

Wszyscy cieszyli się tą pierwszą przejażdżką Flaminii i postanowili w gondolach swoich towarzyszyć gondoli zacnéj staruszki, która sierotę taką pieczołowitością otaczała.

Trzy gondole czekały przy kamiennych schodach po których miała zejść Flaminia. Hrabia w jednéj gondoli stał z bukietem białych kwiatów, na drugiéj niecierpliwił się Maryan również z kwiatami w ręku Eliza z uśmiechem skończonego dyplomaty patrzała zadowolona raz na Maryana drugi raz na hrabiego. Uśmiech jéj mówił wyraźnie, że to jéj dzieło...

Pojawiła się na progu staruszka i Flaminia. Staruszka jakoś mocniéj nachyliła się ku ziemi. Obecni przypisywali to troskliwości, jaką dla choréj sieroty okazywała. Wdzięczni jéj byli za to, i gorąco uścisnęli koleją suchą, i zimną już rękę, którą im staruszka na przywitanie podała.

Za nią na marmurowych schodach stała Flaminia. Była po chorobie jeszcze piękniejszą, jeszcze więcéj uroku miały jéj oczy ciemno szafirowe, obleczone mgłą szklistą, po za którą przebijała dusza niegdyś zbolała a dzisiaj szczęściem swojem rozmarzona. Na ustach był uśmiech dla wszystkich tak jak słońce ma swoje promienie dla całego świata, ale dla Maryana był ten uśmiech wymowniejszy, powiedział mu więcéj niżeli innym. To téż gorąco ścisnął rękę, która najpierwéj do niego się wysunęła i za to w zamian kwiaty od niego zabrała .. A gdy potem wiotka jéj postać powoli do gondoli weszła, aby tam w zamkniętéj szczelnie budce, przed wszystkimi się ukryć, opanował żal wszystkich serca bo wszystkim zdawało się, że słońce nad nimi zaszło. Wprawdzie płynęły gondole obok siebie, od czasu do czasu można było przez szklanną szybę obaczyć bladą lecz uśmiechniętą twarz rekonwalescentki, ale wszyscy mieli takie uczucie jakby płynęli jako straż przy skarbie, starannie w głębi gondoli ukrytym.

Gondola hrabiego płynęła po drugiéj stronie. Maryan w téj chwili nie zważał na nią. Wprawdzie zrazu, gdy w ręku hrabiego obaczył kwiaty białe, przeznaczone dla Flaminii, uderzyło mu serce jakiemś przykrem uczuciem podobnem zupełnie do zazdrości i niepokoju, gdy jednak Flaminia z rąk jego bukiet z pewnym wymownym uśmiechem odebrała i za to nawet gorąco jego dłoń uścisnęła, darował hrabiemu wszelkie niefortunne intencye jego, o jakie go posądzał. Miał nawet pewną litość dla niego w téj chwili i byłby wyraził mu tę litość gorącemi słowami współczucia, gdyby tylko z nim o tem mógł mówić.

Trwało to czas niejaki. Maryan był bardzo szczęśliwy. Przekonanie, że zaledwie kilka kroków oddalo go od ukochanéj kobiety, która jak z wszystkiego wnosił nie jest mu obojętną, podwyższało jeszcze szczęście jego i sprawiało mu nader błogie uczucie.

W tem błogiem rozmarzeniu zaszedł mały przypadek. Potrzeba było wyminąć barkę naładowaną

drzewem. Wszystkie trzy gondole nie mogły płynąć razem. I stało się, że gondola hrabiego została obok gondoli Flaminii, a Maryan musiał w tył się cofnąć. Dla kochającego człowieka było to już samo przez się nieszczęście—a nieszczęście to doszło do wyższego jeszcze stopnia, gdy hrabia coś do okna gondoli zagadał, a to okno mimo przeciągu wiatru otworzyło się dla niego.

Wszystko to, co w ostatnich tygodniach na żądanie Elizy robił hrabia dla Flaminii, stanęło teraz w jaskrawém świetle przed oczyma Maryana. Pewność jego szczęścia rozwiała się nagle jak mgła wiosenna, a horyzont cały zasępił się teraz nad jego głową. Niewytłomaczona prawie niczém obawa opanowała jego serce, które teraz zadrżało boleśnie na widok niebezpieczeństwa.

Eliza spostrzegła to i uśmiechnęła się.

— Nie wiem dlaczego pan Stella jest tak mało uważający—ozwała się zwrócona do Maryana—dla czego nie zważa na to, że Flaminia na wodzie bardzo łatwo może się zaziębić! Mówi do niéj, a ona musi okno otwierać, aby mu odpowiedzieć lub go słyszeć!

— W saméj rzeczy—odparł Maryan zgryźliwie—to jest wielka impertynencya... chciałem powiedzieć nieuwaga z jego strony! Po co się jéj naprzykrzać?

— Mógłby sobie te komplimenta schować, które prawdopodobnie jéj tam prawi.

— Komplimenta niepotrzebne!

— Tak... ale może nam się tylko tak zdaje.

Eliza miała przy tych słowach figlarny uśmiech na twarzy, a drobna jéj rączka bawiła się parasolikiem.

Maryan zaczął się niecierpliwić na ławie.

— Przecież sama mówiłaś, że to napróżno! rzekł do niéj w widoczném rozdrażnieniu.

— Mówiłam to... ale mój drogi, któż może ręczyć za serce kobiece, które ma w sobie tyle tajemnic i zagadek?

Maryan czuł, że mu serce coraz mocniéj bije. Odparł z nietajonym gniewem:

— Tylko serce płochéj kobiety, owéj istoty z nerwami a bez żadnych głębszych zasad, ma różne niezbadane tajemnice i zagadki... ale serce zacne i poczciwe podobne jest do świątyni poświęconéj tylko jednemu świętemu.

— Który jednak z bólem serca patrzy tam na ołtarze poświęcone innym także znakomitościom niebieskim, przerwała bratu z uśmiechem Eliza.

Z gniewem spojrzał Maryan na siostrę.

— Nie wiem dla czego od niejakiego czasu ozwał się, stroisz żarty, wtedy, gdy ja na seryo mówię?

— Na to, odpowiedziała spokojnie Eliza, abyś nietylko seryo myślał i marzył, ale abyś na seryo coś zrobił i nie czekał, aż drugi cię ubiegnie.

Na te spokojnie wypowiedziane słowa umilkł Maryan, bo widział w nich wiele prawdy. A prawda tu w obec zachowania się hrabiego występowała co raz jaśniéj przed nim. Im częściéj na zwężonéj drodze okienko Elizy do hrabiego się otwierało, tem więcéj był o téj prawdzie przekonany i postanowił przy pierwszéj sposobności sprawę swoich utajonych marzeń załatwić. Uznał za rzecz słuszną nie trzymać serca kobiecego przez dłuższy czas w niepewności, bo ta niepewność może rzeczywiście zamienić je w jedno z owych serc, o których mówiła Eliza że w nich odbywają się często nagłe i niczem nie wytłomaczone zmiany.

Postanowieniu temu chciał Maryan nadać wyższą sankcyą. Chciał zwierzyć się z niem rodzicom i powiadomieć ich o kroku, jaki w najkrótszym czasie zrobić zamyślał.

Gdy przed chwilą na bocznéj ławce z Elizą rozmawiał, siedzący w tyle pan Salezy patrzał na mijające się gondole, które dawały widok nadzwyczaj ruchliwy i urozmaicony. Pani Apolonia tymczasem przypatrywała się pałacom.

— Czy nie mógłbym w téj chwili rozmówić się z rodzicami w pewnéj ważnéj sprawie? zapytał z powagą Maryan.

Pan Salezy pożegnał gondole a pani Apolonia pałace nie swoje i oboje zwrócili oczy na syna. Eliza uśmiechnęła się z pewnem zadowoleniem.

— Zdaje mi się, ozwał się po chwili Maryan, że w pewnéj bardzo ważnéj dla mnie sprawie wolą moja schodzi się zupełnie z wolą rodziców.

— Domyślam się, odpowiedział pan Salezy z uśmiechem.

— Ja także nie jestem niedomyślną, dorzuciła pani Apolonia.

— Ponieważ więc wszyscy się rozumiemy, ciągnął daléj Maryan, to krótko powiem, że panna Flaminia bardzo mi się spodobała i że zamyślam prosić ją o rękę.

Eliza uderzyła brata parasolikiem.

— Niepoczciwy! A serce gdzie?... Toż już serca kobiecego nie macie za nic?

— Zależy tylko od was, odparł z uśmiechem Maryan, aby to serce coś warte było. Wy same nadajecie mu cenę... ale jeżeli niem rzucacie jak piłką...

— I to mówisz w przededniu oświadczenia się Flaminii...

— Mówię tylko do ciebie...

— Wróćmy do rzeczy! przerwał wesołą szermierkę pan Salezy, więc chcesz się o Flaminią starać?

— Czy raczéj chcesz się jéj oświadczyć? powtórzyła matka.

Maryan milczał chwilę.

— Tak jest... chcę się jéj oświadczyć, rzekł po chwili, chcę to jéj i pani Palczewskiéj powiedzieć.

Nastąpiło milczenie.

— Czy jesteś pewny, że będziesz przyjęty? zapytała matka.

Maryan zarumienił się. Na takie zapytanie nie był przygotowany. Stanął mu hrabia przed oczyma.

— Powności nie mam; odpowiedział, ale sądzę że mam pewien grunt, abym na nim postawił moje dalsze nadzieje.

Znowu nastąpiło milczenie.

— Czyby nie było lepiéj, ozwała się pani Apolonia, gdyby pierwéj Eliza mogła poufnie od niéj coś się dowiedzieć?

— W takim razie, przerwał żywo Maryan, niepotrzebne jest żadne pośrednictwo. Ja sprawy mojéj nie chcę traktować na równi z każdym innym interesem. Podobała mi się kocham ją i to jéj powiem. Mam przeczucie, że im prędzéj to jéj powiem, tem życzliwszą będę miał odpowiedź.

Czoło Maryana było podobne do rozpalonego bronzu. Eliza uśmiechała się z zadowoleniem.

— Nietylko przeciw temu nic nie mamy, rzekł po chwili pan Salezy, ale owszem uważamy twój wybór pod każdym względem za bardzo trafny. Osoba warta jest ciebie a ty wart jesteś osoby.

— Jakbyście znaleźli siebie w korcu maku, dodała pani Apolonia.

— Dlatego naprzód przyrzekam ci moje błogosławieństwo.

— A ja do pana Boga modlić się będę za wasze szczęście.

Pani Apolonia rozpłakała się przy tych słowach a pan Salezy spoważniał, jakby właśnie zabierał się do wypowiedzenia najważniejszéj myśli swojéj.

— Widzisz drogi Maryanie, rzekł z powagą, że z naszéj strony największą nawet masz do tego kroku zachętę... chodzi tylko o to, aby coś więcéj dowiedzieć się o rodzicach panny i całéj jéj familii.

Eliza zmarszczyła czoło.

— Dzisiaj nikt na to nie patrzy, rzekła z energią, byle tylko dzisiejsze stanowisko było przyzwoite.

— O pani Adeli, wychowance księcia X*** różnie ludzie mówili, dodała poni Apolonia, a przecież pan Karol z nią się ożenił i oboje są teraz bardzo szczęśliwi. Książę daje pieniądze, a oni mieszkają sobie za granicą jak państwo jakie.

Poczciwe serce matki popsuło tutaj to, co Eliza dobrego zrobić chciała. Zachęcenie syna do puszczenia w niepamięć różnych wieści i plotek, jakieby powstać mogły o Flaminii, i wprowadzanie pani Adeli do rozmowy jako dowód, wywarło na Maryana wpływ zupełnie przeciwny. Posmutniał i zmarszczył czoło. Przed jego oczyma podniosły się nagle jak męty z brudnéj wody jakieś straszne potworne domysły i przez kilka chwil dręczyły jego gorącą wyobraźnię. Wnet jednak zaczęły opadać.

— Nie sądzę, ozwał się po chwili, aby tu chodziło o różne niepokojące domysły, tyczące się saméj osoby Flaminii, jak się rzecz miała z panią Adelą. Eliza miała zupełnie co innego na myśli. Ona myślała o rodzicach Flaminii, o ich stanowisku społecznem lub popełnionym przez nich jakim czynie niezgadzającym się z moralnością publiczną. O tem prawdopodobnie myślała Eliza, gdy powiedziała, że dzisiaj nikt na to nie zważa. Pod tym względem zupełnie się z nią zgadzam. Biedne bowiem niemowlę które nawet rodziców swoich nie miało, nie może za ich czyny ponosić kary, nietylko jest ono niewinne ale owszem godne jest lepszego współczucia i opieki każdego szlachetniejszego człowieka. Inaczéj ma się rzecz, gdyby jaka plama była na saméj osobie...

— Ależ o tem nikt nie mówił. Broń Boże! przerwał pan Salezy z pośpiechem.

— Nawet na myśli mi to nie było, protestowała pani Apolonia.

— Nikomu się ani śniło, aby coś podobnego utrzymywać, dorzuciła Eliza.

Po tych protestach dłuższe zapanowało milczenie.

— Tak, przerwał w końcu milczenie pan Salezy, nikt tu nie myślał o rzeczach, które są wprost niemożliwe. Eliza i ty macie nawet słuszność, że przeszłość rodziców nie udziela się dzieciom jako spadkobierstwo prawowite... ale przy tem wszystkiem chciałbym przecież, aby coś, choć coś bliższego się dowiedzieć. Przyznam się, że ta myśl ciągle mnie niepokoi. Nie jest to bez powodu.

— Każda niepewność tworzy różne straszydła, odezwała się Eliza, które potem rozpływają się w nic.

— Otóż o to chodzi, aby tych straszydeł nie było aby one raz rozpłynęły się w to nic... Przedewszystkiem uderza mnie że Flaminia nigdy o rodzicach swoich nie chce mówić, a gdy z rozmowy wypadnie coś o tem powiedzieć, wtedy przechodzi do innego przedmiotu. Widocznie wspomnienie rodziców sprawia na niéj jakieś wyjątkowe, bardzo niemiłe wrażenie.

— To prawda, rzekła Eliza, sama byłam nieraz świadkiem nadzwyczajnego wrażenia, gdy zeszła rozmowa na jéj dziecinne lata. Urywała wtedy rozmowę a nawet widocznie okazywała niechęć że o tem mówiono. To jednak łatwo da się wytłomaczyć. Wrażenie to może pochodzić z wielkiego bólu, jaki budzi się w jéj sercu na wspomnienie utraty rodziców. Jest nadzwyczaj tkliwa na to wspomnienie, a późniejsze losy biednéj sieroty uczyniły jéj serce może jeszcze tkliwszem.

— Czy pani Palczewska nigdy o tem nie mówiła? pytał daléj pan Salezy.

— Kilka razy była o tem mowa w obec Flaminii odpowiedziała Eliza, a wtedy wyraźnie powiedziała pani Palczewska, aby tych wspomnień Flaminii nie budzić, bo to ją mocno rozdrażnia. Potem uważałam za niestosowne nalegać na nią. Nie chciałam budzić w niéj podejrzenia, że chcemy szukać genealogii krewnéj, która zostaje jéj spadkobierczynią.

Ostatnie słowa wywołały dłuższe milczenie. Podczas tego milczenia uśmiechał się pan Salezy do swoich myśli, jakie te słowa mimowoli wywołały: pani Apolonia z miłością macierzyńską patrzała na syna, a Eliza bawiła się tymczasem spokojnie swoim parasolikiem. Maryan patrzał zamyślony przed siebie jakby ostatnich słów nie słyszał.

— Wszystko dobrze ozwał się po niejakim czasie pan Salezy, wszystko składa się bardzo dobrze, aby szczęście Maryana utrwalić. Jest rzeczą pawną, że Palczewska cały swój majątek odda Flaminii, a choć to rzecz niby poboczna, nie można jéj jednak z uwagi spuszczać. Dlatego sądziłbym, czy nie byłoby lepiéj, gdyby na pewnym już zdeklarowanym punkcie trochę się zatrzymać, a matka tymczasem zręcznie rozmówiłaby się z Palczewską względem tych dwóch kwestyi...

Poczerwieniał na twarzy Maryan.

— Na to nie mogę przystać, odpowiedział żywo, bo to byłoby prostem ultimatum, któreby mnie i Flaminii ubliżało. Jeżeli Flaminią kocham, to żadnych warunków stawiać nie mogę, a jeżeli ona jest mi wzajemną, to rzecz jest skończona. Słyszałem tutaj, że pani Palczewska zamyśla majątek swój Flaminii zapisać. O ile tę sprawę znam, sądzę że to prawdopodobnie nastąpi. Nie pozwolę jednak w żaden sposób aby te sprawę teraz wytaczać. Będzie to potem mojem i Flaminii zadaniem, abyśmy sobie na to dobrodziejstwo sumiennie zasłużyli. W ten sposób uważam te sprawę za skończoną a zamiaru mego dopełniam, jeżeli rodziców o moim najbliższym kroku uwiadamiam.

— Oby Bóg kierował tym krokiem twoim, rzekł na to pan Salezy, a ja mam nadzieję, że poczciwie i rozsądnie sobie postąpisz. Wierzę nawet, że znajdziesz chwilę sposobną do niektórych zapytań, na które ciekawi zawsze jesteśmy choć pobieżnéj odpowiedzi.

Na tem skończyła się rozmowa familijna, gdy gondole z powrotem do marmurowych schodów „piazzetty“ przybiły. Słońce było ciepłe, niebo pogodne. Wszyscy wysiedli, aby pieszo przez „piazzettę“ udać się do domu.

Na pałacu Doży przylepiono właśnie olbrzymie plakaty. Eliza zaproponowała, aby tam podejść i te plakaty odczytać. W cichem życiu Wenecyi okazywały takie plakaty zawsze pewną nowość.

Przejażdżka wyraźnie posłużyła Flaminii. Twarz jéj zarumieniła się, oczy błyszczały pogodą. Wesoło i szybko przebiegła kilka schodów, zostawiając męzką pomoc starszym i słabszym kobietom. Zrozumieli to obaj towarzysze. Maryan podał rękę staruszce a hrabia wziął matkę Elizy pod rękę. Eliza prowadziła ojca. Tak przyszli na róg pałacu, gdzie był plakat olbrzymi.

Plakat pochodził od tak zwanéj *societa di carnovale*, która zapowiadała nim program festynów karnawałowych.

Znany jest powszechnie karnawał wenecki. Zazwyczaj tworzy się w tym celu towarzystwo, które zbiera składki, potem przez dziesięć ostatnich dni wyprawia publiczne festyny.

Karnawał z maskami rozpoczyna się świetnem przybyciem do Wenecyi „*Chiozziotów*“ to jest masek które naśladują ubiory mieszkańców miasta Chioggia, orszak ten przybywa na okręcie z muzyką i od tego czasu chodzą już maski po różnych miejscach publicznych. Na drugi tydzień przybywają także okrętem z muzyką w maskach Neapolitanie a za nimi w tydzień odbywa wjazd tryumfalny król karnawałowy i otwiera z całym orszakiem swoim szereg zapowiedzianych programem festynów publicznych. Od dnia jego przybycia zaczyna na piękne szaleć cała Wenecya a turyści całego świata zjeżdżają się, aby to szaleństwo oglądać i za nie drogo płacić. Tańce, maskarady, vegliory trwają codzień, aż do ostatniego wtorku, w którym o dwunastéj godzinie tenże sam król z całym świetnym dworem swoim i swemi błaznami przy ogniach bengalskich na okręt wsiada i miasto opuszcza.

Otóż kolosalny arkusz papieru na pałacu Dożów, zapowiadał właśnie cały program takich festynów karnawałowych a przedewszystkiem wjazd tryumfalny króla Pantalona, który festyny te uroczyście rozpocznie. Wjazd ten miał się odbyć jutro.

Gdy to wszystko przeczytano a tym, którzy po włosku nie umieli wytłomaczono, ozwała się pani Palczewska:

— Jak to się dobrze składa. Jutro przyjeżdża do miasta król karnawałowy, a z naszych okien najlepiéj będzie można ten wjazd tryumfalny obserwować. Z tem przybyciem jego królewskiéj mości schodzą się dziwnym sposobem urodziny Flaminii. Spodziewam się, że państwo mojéj solenizantce zechcecie jutro powinszować, a przy téj sposobności przypatrzyć się tym głupstwom weneckim, na które setki Anglików się zjeżdżają. Szkoda że my na naszych obchodach i zwyczajach narodowych nic nie możemy zarobić, nie dziw że jesteśmy biedni.

Wiadomość o urodzinach Flaminii ucieszyła wszystkich, a najbardziéj Maryana, który w tym dniu dla niéj tak pamiętnym postanowił wyznać jéj tajemnicę swego serca, chociaż ona prawdopodobnie dla niéj bynajmniéj już tajemnicą nie była.

Zdaje się że i pani Palczewska coś o téj tajemnicy wiedziała, bo mówiąc o dniu jutrzejszym spojrzała na Maryana i z pewnem zadowoleniem się uśmiechnęła. Zapewnie przyszło jéj na myśl, że przy podobnych uroczystościach, przy wyższym w takim razie nastroju życia otwierają się serca i wzajem sobie się zwierzają... A takiego zwierzenia się, być może, że już dawno niecierpliwie oczekiwała...

Wspomnienie urodzin nie nasunęło Flaminii podobnie jasnéj myśli. Przeciwnie cień smutku przemknął po jéj twarzy i osiadł na pięknem, białem czole. I wtedy nawet ztamtąd nie uleciał, gdy Maryan podawał jéj rękę na pożegnanie i z pewną niezwykłą wibracyą głosu wymówił słowa:

— Do widzenia się, jutro.

Inne za to wrażenie sprawiły słowa Elizy wymówione do hrabiego.

I ona wyciągnęła do niego rękę i rzekła:

— Do widzenia się, jutro.

W tych słowach a przede wszystkiem w spojrzeniu które tym słowom towarzyszyło, widział hrabia tyle nadziei oraz i szczęścia swego, że postanowił równocześnie z Maryanem z dnia najbliższego skorzystać. *(d. c. n).*

NA WYSPIE.

NOWELLA
Fr. Spielhagena.

przekład z niemieckiego

(Dalszy ciąg).

Rozdział XXIII.

Powróciwszy do domu zaledwie dość czasu miała Klementyna się dowiedzieć o swojem dziecku, które nic jeszcze o niepokojach i troskach dorosłych ludzi nie wiedziało, i mimo grzmotów spało najspokojniéj gdy wbiegła służąca z prośbą, aby Klementyna natychmiast udała się do pokoju panny Heddy. Klementyna niezwłocznie poszła na górę i ujrzała przyjaciółkę bladą, jakby bez życia, leżącą na łóżku, a przy niéj przerażoną pokojówkę, która zamiast nieść pomoc, łamała ręce i głośno płakała.

Od niéj dowiedziała się Klementyna, że komendant wypłynął wśród najgwałtowniejszéj burzy, że zapewne już nie powróci, a Hedda zapewne jako dobra córka śmierci ojca nie przeżyje i więcéj jeszcze podobnych przepowiedni i wróżb złowrogich.

Klementyna odesłała służącą, usiadła obok Heddy na łóżku i zaraz poznała że stan jéj jest niczem innem jak lekkiem tylko omdleniem, któremu zwykle podpadała po każdem wielkiem wzruszeniu, lub zbytecznym wysiłku fizycznym. Wkrótce myśli jéj skierowały się znowu na opowiadanie biednego dziewczęcia; z przerażającą jasnością odkryło jéj ono niegodziwość człowieka któremu tak bardzo ufała, i wskazała przepaść nad którą tak nierozważnie kroczyła. Choć pan von Elze dość często wspominał z rodzajem przechwałki nawet, że kobiety ważną zawsze rolę w jego życiu odgrywały, ale dotąd, nie brała mu tego za złe Klementyna. Dzisiaj wszakże uczuła się osobiście obrażoną i zrozumiała jak było nagannem jéj długie pobłażanie; najwięcéj jednak gorszyła ją i oburzała przewrotność, która na każdym kroku cechowała postępowanie pana von Elze.

Wiedział on, że imię i majątek nie są dobrym sprzymierzeńcem w oczach ubogiéj ale uczciwéj córki sternika, udawał więc przed nią ofiarę losu, źle nagradzanego oficera, który nie ma przed sobą przyszłości i najmniejszéj nadziei opuszczenia kiedykolwiek Neduru. Ożenienia się z nią nie obiecywał wyraźnie, na tym jednak punkcie tak zręcznie umiał uśpić wszelkie jéj obawy, a przez udaną poczciwość i częste dowody swéj umysłowéj przewagi, tak sobie zaufanie jéj zjednał, że obietnicy głębokiego milczenia nigdy nie byłaby złamała, gdyby nie ta okoliczność że pan von Elze nagle wyjechał nie uprzedziwszy jéj, a nawet kryjąc się przed nią ze swą podróżą. Ujrzała się więc sama i opuszczona, a w szalonéj burzy zdało się jéj widzieć przestrogę czy karę nieba, i pod wpływem téj dziecinnéj trwogi, winę swą Klementynie wyznała.

— I ja tego człowieka ceniłam tak wysoko, że dla jego szczęścia byłabym zdolną do każdéj ofiary, a miłość jego pochlebiała mi do tego stopnia, że oświadczenie jéj nie odrzuciłam z pogardą? W oczach Wszechmocnego Boga, w czemże się różnię od téj biednéj dziewczyny? Ona upadła tam gdzie ja się chwiałam! Ona taka młoda, osamotniona i niedoświadczona, bez matki, sióstr i braci, a ja?

O Boże! teraz widzę jasno dlaczego Gustaw tak dla mnie obojętnym jest i zimnym. Ach! gdyby on był serdeczniejszy, gdyby zamiast milczeć dumnie, chociaż raz jeden przyjacielsko mnie przestrzegł, nigdy o, nigdy! tak bym daleko nie zaszła. A teraz, czyż mam mu wyznać że człowiek którego przyjacielem nazywałam jest nie uczciwym, że słuszność po jego stronie? O Boże! czy serce ludzkie tak bardzo mylić się może? Czy do tego stopnia jesteśmy niewolnikami zmysłów naszych? Tak rozmyślając szlachetna kobieta ukryła twarz w dłonie i gorzko płakała.

W téj chwili Hedda powstała jakby ze snu ciężkiego, ręką potarła czoło, a gdy ujrzała płaczącą Klementynę zawołała z przerażeniem:

— A więc nie żyją? Czyż obaj nie żyją?

— O kim mówisz Heddo? spytała Klementyna, z pośpiechem łzy ocierając.

— O nim i o moim ojcu!

— Heddo zastanów się! wszakże Paweł nie popłynął, jest w domu, a twój ojciec dzięki Bogu, i większe niebezpieczeństwa nieraz już przebył szczęśliwie.

— Ach! prawda! wszystko jeszcze szczęśliwie skończyć się może. Chodźmy: chodźmy Klementyno! i zbiegła na dół tak szybko, że Klementyna ledwo za nią zdążyć mogła.

Gdy wchodziły do ogrodowéj sali, drzwiami szklannemi z pośpiechem wpadł Paweł. Z jego sukien ściekała woda, ale twarz była rozpromieniona a oczy błyszczały radością. Zwycięztwo! zwycięztwo! zawołał; komendant już na pokładzie, panuje nad morzem i burzą.

Ach! ty, tu jesteś Klementyno? właśnie chciałem iść po ciebie, no! dłużéj zostać nie mogę. Bądźcie tylko spokojne, wprawdzie wicher szalony jeszcze, ale to już dziecińistwo w porównaniu z tem co było! I jak wpadł nagle tak też znikł w jednéj chwili, a obie kobiety nie miały nawet czasu zadać ani jednego pytania. Przystąpiły do okna. Od południa niebo się rozjaśniło, ustały deszcz i burza, lecz morze toczyło jeszcze olbrzymie niespokojne fale. Widzisz? Paweł stoi na wybrzeżu, rzekła Klementyna, i z serdecznéj radości wszystkich sterników ściska! To prawdziwie nieoceniony człowiek, byłby jedynym mężem dla ciebie, nieprawda Heddo? szepnęła z czułością kładąc rękę na ramieniu przyjaciółki. Hedda poważnie potrząsła głową. On cię z pewnością kocha, ciągnęła daléj Klementyna.

Hedda głośnym wybuchła płaczem i twarz swoją ukryła na piersiach przyjaciółki.

— O! nie mów tego że on mnie kocha! zawołała łkając, on nie powinien on nie może mnie kochać!

— Wszakże sprzyjasz mu Heddo?

— Zapewne... ale... ja sama nie wiem...

— Jakto? czyż moja mądra Hedda tak mało świadoma tego co się w jéj sercu dzieje?

— O! gdyby był nigdy tutaj nie przyjeżdżał!... wolałabym była nie widziéé, nie znać go nigdy! O chciałabym umrzéć! zawołała Hedda. Co ci jest Heddo? spytała Klementyna przerażona dziką namiętnością przyjaciółki, nigdy jeszcze nie widziałam cię taką! Nie pytaj mnie, mówić nie mogę, i nie powinnam! odparła Hedda i oddaliwszy się zamyślona, wsunęła się w róg sofy. Po chwili jednak rzekła: Klementyno, czy to jest możliwem aby serce kobiety dwóch ludzi jednocześnie kochać mogło? To być nie może! rumieniąc się odpowiedziała Klementyna. Zkądże tak dziwne pytanie?—To już rzecz moja, powiedz mi jednak dlaczego to jest niemożliwem?—Dlatego, że prawdziwa miłość, wypełniać musi całą naszą istotę, a ztąd prawdziwą miłością jedna tylko być może! z przejęciem odrzekła Klementyna.—A jednak; gdy się czuje tę podwójną miłość?

— W takim razie jedna z nich tylko może być prawdziwą, albo też obie fałszem są i złudzeniem.

— Czy owa prawdziwa miłość która całą naszą istotę ogarnia, może trwać wiecznie? Tego nie wiem, ale sądzę że może i powinna, odpowiedziała zmieszana nieco Klementyna, dlaczego mnie pytasz o to?

W téj chwili wrócił Paweł, i oznajmił, że komendant steruje parowiec ku Nedurowi i w pobliżu baggeru kotwicę zarzuci. A teraz, rzekł wesoło, za te dobre wieści należy mi się nagroda, kieliszek wina, lub szklanka ponczu. Hedda pospieszyła zadość uczynić jego życzeniu, on patrząc za nią rzekł do Klementyny. Biedna dziewczyna, jakże ona blada! Nie dla niéj to życie wśród ciągłych niebezpieczeństw, które jéj ojcu każdéj chwili grożą. Ona, powinnaby Nedur opuścić, i w téj sprawie z papą Walterem rozmówić się muszę. „To znaczy“ rzekła Klementyna, oświadczę się o jéj rękę.

— Ja, żenić się, ożenić się z Heddą? zawołał Paweł.—Czy ci się to tak niemożliwem wydaje kuzynku? Czyż jéj nie kochasz?

— Ja?... zapewne... ale...

— Słowo w słowo też sama odpowiedź, szepnęła sobie Klementyna i głośno dodała:

— A mnie się zdaje żeście oboje poszaleli!

Rozdział XXIV.

W pół godziny później, komendant z dwojgiem swoich ludzi wylądował w temże samem miejscu z którego przed kilku godzinami wypłynął na tę wyprawę, w któréj śmierć tak łatwo spotkać go mogła. Przybywał na łodzi należącéj do korwety, gdyż łódź jego fale o okręt rozbiły. Sternicy którzy oczyma znawców na ten czyn odwagi jego patrzyli, oczekiwali na wybrzeżu z dumą spoglądając na swego komendanta, ale ani jednem nawet słowem nie okazując radości swéj i podziwienia. Również i po komendancie, niktby nie poznał że coś nadzwyczajnego zaszło przed chwilą. Przybywszy do domu, opowiadał ze zwykłą prostotą, jak w samą porę przybył na okręt, by go od rozbicia uchronić, i że podczas burzy niezmiernie trudnem było przeprowadzić wielki okręt przez wązki przesmyk głębszéj wody, gdyż mocno był uszkodzony i machina jego tylko połową siły pracować mogła. Korwetą ową był *Neptun*, z dalekiéj wracający podróży. Zatrzymał on się był w porcie S. gdzie rozpuszczono połowę załogi, kapitan zaś opuścił okręt by sprawozdanie z podróży złożyć admiralicyi, a porucznikowi polecono zaprowadzić go do portu S. gdzie miał przezimować. Na drodze zaskoczyła go burza; komendant unosił się nad odwagą załogi, a głównie nad roztropnością porucznika:—To prawdziwy marynarz, chociaż młody jeszcze, podobał mi się bardzo i cieszę się że nas odwiedzi. W téj chwili Hedda wstała i ku drzwiom się zwróciła. Moja Heddo, każ nam co dobrego zrobić na kolacyą. Ale słuchaj, porucznik mówił że poznał ciebie w S. u twojéj ciotki. A!... rzekła Hedda już przy samych drzwiach stojąc; jakże on się nazywa?

— Porucznik Helm. Helm?nie jestże to mały blondyn, na jedno oko zezujący?

— Ten zezowaty to porucznik Sandberg, odparł komendant. Tak? być może, rzekła Hedda obojętnie. W każdym razie, czy ten, czy ów, o kolacyi pomyśléć trzeba, i to mówiąc spiesznie wyszła z pokoju. Klementyna pospieszyła za nią, a Paweł i komendant poszli do domku strażnika, zkąd rozległy był widok na otwarte biało zapienione morze; na którem teraz w oddaleniu kilka okrętów można było dostrzedz i strojną korwetę stojącą po drugiéj stronie tuż obok flotyli baggeru.

— Korweta pewno się tutaj przez parę dni zatrzyma, rzekł komendant, gdyż o własnéj sile popłynąć daléj nie może, a z wyjątkiem *Orła* który na pozwolenie rządu czekać musi, na tych tu wodach nie mamy innego parowca. Gdy Gustaw powróci, może go da na własną odpowiedzialność.

W tejże chwili odbiła łódź od *Neptuna*, i szybko zbliżała się do wyspy. Ach! jakże leci! zawołał Paweł zachwycony miarowem wiosłowaniem majtków, gdyż podnoszenie i zanurzanie się wioseł dawało łodzi pozór ptaka unoszącego się tuż nad powierzchnię wody. Prawda, te chłopcy dobrze znają rzecz swoją! odparł komendant i obaj poszli nad brzeg powitać przybyłych.

Prócz majtków, było w łodzi dwóch jeszcze mężczyzn, obaj w uniformach, jeden z nich trzymał rudel, a drugi skulony obok niego siedział.

— Komendancie, czy tu przybić mogę? zawołał pierwszy dźwięcznym donośnym głosem. „Śmiało poruczniku“ odparł komendant i w tejże prawie chwili łódź wryła się w piasek nadbrzeżny, a majtkowie, podobnie jak ptak zwijający skrzydła, tak szybko i jednocześnie złożyli swe wiosła. Oficer postąpił naprzód, jednym skokiem znalazł się na suchym piasku i serdecznie przywitał komendanta.

— To młody kochany nasz przyjaciel, rzekł tenże w tak niejasny sposób przedstawiając Pawła.

Porucznik uprzejmie dotknął ręką czapki i z ciemnych swoich oczu rzucił na nowego znajomego bystre, badawcze spojrzenie. Ten to wcale nie zezowaty! pomyślał w duchu Paweł oddając grzeczny ukłon i równie badawcze rzucając spojrzenie.

— I cóż doktorze, czy wysiąść nie myślisz? zawołał porucznik zwracając się ku łodzi.

— Zostanę tutaj dopóki mnie kto nie wyniesie, odparł głos niemiły i skrzeczący.

— To każ się wynieść, śmiejąc się zawołał porucznik. Również i Paweł uśmiechnąć się musiał gdy w téj chwili mały, krępy człowieczek, o niekształtnéj głowie wdrapał się na ławkę, uwiesiwszy się na plecach jednego z majtków, tych parę kroków na wybrzeże nieść się kazał. Gdy uczuł pod swemi nogami suchy, twardy piasek, westchnął głęboko i rzekł z zadowoleniem:

— *Wyrwany z niebezpieczeństwa i śmierci!*

— *I nie pozbawiony miłych towarzyszy*; domówił Paweł. — Kimkolwiek jesteś, zawołał z radością mały człowieczek, cieszę się, że nareszcie po dwóch latach znajduję człowieka, który Homera cytować potrafi! Musimy być przyjaciółmi! i wziąwszy Pawła pod ramię, szedł z nim ku domowi komendanta.

Panowie zastali Klementynę i Heddę w muszlowym ogródku. Słońce ukazawszy się znowu w ostatnich dnia godzinach, teraz zachodziło jaskrawo w falujących wodach i różowem światłem otaczało te dwie urocze, kobiece postacie.

— Moje córki; rzekł komendant przedstawiając tak obie panie, co ulubionym było żartem poczciwego człowieka. Pan Helm porucznik marynark i doktór...

— Amadeus Schwarz do usług; dopełnił tenże.

— Cieszę się że mogę dawną znajomość odnowić, rzekł porucznik do Heddy, kłaniając się obydwom paniom.

— Jakże mi przykro że i ja tego powtórzyć nie mogę; rzekł doktór kładąc rękę na sercu i pochylił się tak nizko, że Paweł patrząc na tę scenę obawiał się aby mały człowieczek nie stanął na głowie.

— A ty Heddo, czy przypominasz sobie pana porucznika? spytał komendant.

— O! doskonale; odrzekła rumieniąc się mocno.

— Musisz pan wiedziéć, ciągnął daléj, że córka moja brała pana za twego kolegę Sandberga.

— Podobieństwo niezbyt uderzające, mruknął doktór.

Hedda mocniéj się jeszcze zarumieniła.

— Ta pomyłka nie dziwi mnie wcale, odparł porucznik. Sandberg i ja byliśmy zawsze nieodstępnymi towarzyszami w S., i oddawna przywykłem schodzić na drugi plan w obec nieocenionego mego przyjaciela.

— Wejdźmy do pokoju, rzekła Klementyna, wieczerza nasza wystygnie.

Rozdział XXV.

Jeden tylko Paweł pozostał w ogródku, i zamyślony patrzył jak wewnątrz domu w około stołu za-

siadało towarzystwo. Wtem do drzwi przystąpiła Hedda wołając: Sąsiedzie, gdzie się obracasz? Idę; odpowiedział Paweł, a w duszy pomyślał: cóż robić tak być musiało.

Przed chwilą bowiem zrobił on odkrycie które nie byłoby uszło nawet mniéj bystrego lecz równie interesowanego człowieka; odgadł już stosunek pomiędzy Gerhardem a Heddą, a kluczem do téj zagadki było twierdzenie, które jako pewnik matematyczny powstało w jego umyśle. To niemożliwe, rzekł on sobie, by Hedda na którą piękno tak silne czyni wrażenie, zapomnieć mogła człowieka tak doskonałéj urody? Jeżeli nie przypomniała go sobie, to widocznie przypomnieć nie chciała: ztąd wynika: że albo on ją kocha, a ona nie jest mu wzajemną, albo też naodwrót; jedno zaś równie jak drugie prawdopodobne nie jest; ale za to najzupełniéj do prawdy podobne, że kochają się wzajemnie i mają powody dla których trzymają to w tajemnicy. Zanadto dobrze znał on Heddę, aby zmieszanie się jéj przy spotkaniu z Helmem mogło ujść jego uwagi; do tego przypomniał sobie jéj pytanie tyczące się *Neptuna*, i tę okoliczność jak drgnęła i zbladła, gdy sternik oznajmił że okrętem w niebezpieczeństwie jest właśnie ów *Neptun*, z poddaniem więc powtarzał sobie: cóż robić, już tak być musiało!

Wszedł do sali i usiadł do stołu przy którym według dawnego zwyczaju przy Heddzie zostawiono mu miejsce. Chociaż serce jego silnemi uczuciami przepełnione było, czoło miał pogodne, jego ciemno szafirowe oczy błyszczały a przebiegły nawpół ironiczny uśmiech około ust krążył. Miał on wyraz twarzy badacza, który tylko co odkrył najgłówniejszy punkt zawikłanego zagadnienia i już zawczasu cieszy się tryumfem trafnego rozwiązania. Paweł, niezaprzeczenie kochał Heddę, mimo tego, bez zazdrości, z uwielbieniem nawet, hołdował piękności człowieka, w którym tak prędko odgadł swojego rywala. Tak jak spragniona roślina pije deszcz nieba, tak on potrzebował napawać się pięknem, rozkoszując się niem doznawał zachwytu, owego bohaterskiego zapału, który dla innych tylko w mistycznych głębiach religii się znajduje, lub też w najsłoneczniejszych chwilach prawdziwéj miłości. Zaiste, myślał on w duszy podczas gdy wzrok jego spoczywał na przybyłym; nie było hańby dla Hektora, gdy poddał się Achillesowi; człowiek z bogami nie powinien się mierzyć! Natura przybrała tu rolę artysty, a to co skąpą ręką między tysiące dzieli, rozrzutnie na jednym zgromadziła wybrańcu. Co za głowa! a jak swobodnie ona się porusza na wysmukłéj szyi, nad ramionami tak kształtnemi, z jakim powabem kontur jéj wspaniały pokrywają miękkie ciemne włosy!

A jak czyste i szlachetne są rysy téj twarzy, która chociaż bez zarostu a tak jest męzką i pełną odwagi! A taż śniada, opalona cera, jakże doskonale się zgadza z błyszczącemi ciemnemi oczyma! Paweł spojrzał w około, czy kto więcéj nie podziela uwielbienia jego, lecz jedna tylko Klementyna uśmiechnęła się potakująco, gdy ją wzrok jego zapytał: czyliż on nie jest doskonale piękny?

Pod względem piękności komendant wcale sędzią być nie mógł, piękniejszy człowiek nigdy nie był dla niego lepszym człowiekiem, a tem mniéj lepszym marynarzem; a pan Helm oprócz zalety odważnego marynarza, miał w jego oczach i tę zasługę, że był niezmordowanym słuchaczem, nieskończonych jego opowiadań. Hedda zdawała się tylko słuchać i patrzéć na swego sąsiada z prawéj strony, dziwacznego małego doktora, który w niekształtnéj swéj głowie krył niewyczerpane skarby dowcipu i z niezrównaną powagą najzabawniejsze prawił koncepta. Klementyna nawet, któréj serce tak smutnem było dzisiaj, co chwila śmiać się musiała, a Hedda z początku tak zmieszana, bladą i milcząca, odzyskała na nowo najweselszy swój humor, a tryskające dowcipem słowa, które na żarty doktora odpowiadała, zadziwiały nawet Pawła chociaż tak oswojonego ze sprytem i dowcipem wesołéj dziewczyny.

Starała się i jego do rozmowy wciągnąć i gdy się to nareszcie jéj udało, a Paweł z właściwym sobie wdziękiem prowadząc daléj rozmowę, zjednał sobie uwagę całego towarzystwa, widocznie tem uszczęśliwioną była.

I przez resztę wieczoru nie opuściła ją na chwilę ta swawolna wesołość; a gdy rozmowa padła wypadkiem na sztuki z kart, Gerhardt upewniał że w tem przyjaciel jego doktór Deus, jak go żartem nazywał, prawdziwym jest mistrzem. Hedda, nie spoczęła dopóki doktór nie miał kart w ręku i z wielkiem zajęciem podziwiała jego zręczność i figle, dopóki nie oznajmił że już cały swój repertuar wyczerpał i pokazał wszystko co umie. Następnie wzięto się do muzyki, Hedda przez wszystkich kolejno proszona, siadła do fortepianu i z największą uwagą grała jedną z najnudniejszych sonat jaką sobie przypomnieć mogła. Nagle wśród taktu przerwała wołając z radością: Już wiem, już wiem! i pobiegłszy do stolika z wdzękiem i zręcznością pokazała doktorowi ostatnią jego sztukę. I znowu powróciła do fortepianu, lecz niezadługo przerwała powtórnie mówiąc że gra ją męczy i woli śpiewać. Zaczęła więc jedną ze swych najpiękniejszych piosnek, a śpiewała ją ładniéj niż kiedykolwiek, gdy znowu w połowie przestała robiąc uwagę, że dzisiaj ma chrypkę i głos jéj tylko w duecie może wydać się znośnym.

— Kto mi zechce towarzyszyć? spytała, czy pan doktór nie śpiewa?

— Za trudne zadanie dla mnie łaskawa pani! zawołał tenże przerażony.

— A pan, panie poruczniku?

— Żałuję mocno...

— A więc sąsiedzie, wszak nie opuścisz swojéj sąsiadki?

— Ależ panno Heddo, pani wiesz przecie że cały mój repertuar składa się obecnie z sześciu duetów Mendelsohna, a przyznasz pani że te nie mogą uchodzić za nowość.

— Ach! co to szkodzi? tylko pan śpiewaj co piękne nie starzeje się nigdy.

Oto: *Maiglöckchen lautet*, lecz niestosowne do pory roku. Ale to: „*O säh ich auf der Haide dort im Sturme dich, im Sturme dich*! to takie piękne! Jeżeli pan chcesz, to możesz śpiewać: „*O, säh ich auf der Düne dort.*“

A gdy pieśń skończyli: Doskonale sąsiedzie! zawołała, to prawdziwie nieodżałowana szkoda, że pan nie więcéj nad głosem swym pracuje. Od jutra począwszy, codziennie dam panu godzinę lekcyi. Zaśpiewajmy jeszcze. *Ich wollt meine Liebe ergösse!*

Prześpiewali dwie pierwsze zwrotki gdy wśród trzeciéj nagle zamilkli oboje.

Przed oczyma bowiem Pawła stanął ów sen w którym Heddę przed kilku godzinami widział, a Heddzie przypomniało się senne marzenie w altanie.

— Śpiewaliście wybornie, rzekła Klementyna.

— Wprawdzie śpiewaliśmy dobrze, a jednak nie dobrze ta pieśń wyszła, odparła Hedda.

— To jeszcze raz prześpiewać trzeba; prosił Gerhard.

— Nie; rzekła Hedda, już pierwsze wrażenie chybione, a pierwsze wrażenie jest zawsze najsilniejszem.

— Niedługo rozeszli się goście, a przy pożegnaniu porucznik Helm prosił całe towarzystwo by odwiedziło *Neptuna*.

Komendant i Paweł odprowadzili gości aż do wybrzeża. Księżyc świecił jasno i zbytecznem było światełko latarni błyszczące z korwety.

Klementyna i Hedda zostały same.

— Byłaś dzisiaj w dziwnem usposobieniu Heddo; rzekła Klementyna.

— Doprawdy?

— Nie przesadzam. Lecz powiedz moja droga, dlaczego nie wspomniałaś mi nigdy o tym poruczniku?

— I cóż ci o nim mówić miałam? odparła Hedda.

— Zanadto jest pięknym aby pewna młoda osoba nie miała się w nim zakochać, choćby na czas krótki.

— Czy rzeczywiście jest on tak piękny? Przypominam sobie że i wówczas mówili to ludzie; jutro dobrze mu się przypatrzéć muszę. Czy przystojniejszy od Pawła?

— Prawdziwie Heddo, rzekła Klementyna, takie pytanie jedynie miłość zadać może.

— Miłość do kogo? Czy do porucznika, który według ciebie tak ma być pięknym? Ale o ile sądzić mogę, wcale orłem nie jest; czy też do Pawła, który w twoich oczach jest brzydki, a według mnie jest prawdziwie człowiekiem wyższym, człowiekiem serca i rozumu?

— Kto wie, może kochasz ich obu?

— To pewna że ten któregobym kochać mogła, musiałby posiadać przymioty ich obu, ale niepodobieństwem jest dwóch ludzi kochać jednocześnie, jak mi to powiedziałaś sama dzisiaj nawet.

— I pozostaję przy tem zdaniu, dlatego też radzę ci abyś się strzegła.

— Kogo?

— Siebie saméj.

Hedda rozśmiała się; ale gdy niedługo potem poszła do swego pokoju, zamknęła drzwi i rzuciwszy się na łóżko serdecznie płakać zaczęła.

(*d. c. n.*)

Kronika Paryzka.

Mapa księżyca.

Na posiedzeniu rocznem Akademii nauk w Paryżu, tak zwana nadgroda Walz, przyznaną została Juljanowi Schmidtowi dyrektorowi obserwatoryum w Atenach, za wykonanie olbrzymiéj mapy księżyca, mającéj przeszło trzy łokcie polskie średnicy, a składającéj się z 2731 rysunków pojedynczych.

Pan Loevy sprawozdawca komissyi do rozdania nadgród, w opracowaniu odczytanem publicznie, wykazując całą ważność i znaczenie dokonanego dzieła, dał jednocześnia rys historyczny określeń naukowych, dotyczących powierzchni księżyca. Niewielka jego odległość od ziemi, średnica z tego względu średnica, słabe światło, dozwalają nawet gołemu oku, odróżnić miejsca ciemne od światléjszych, i odznaczyć ich kształt wzajemny. Jeszcze w czasach starożytnych, Plutark ułożył z tego względu bardzo zajmujące opowiadania.

Od czasu odkrycia lunety astronomicznéj i oznaczonych gór na księżycu przez Galilejusza, ciekawość ludzka wtym kierunku zwiększona została nadzwyczajnie; chciano roztrzygnąć wiele pytań do-

tyczących stanu fizycznego satelity. Dotychczas wiadomo, że jego powierzchnia jest nadzwyczajnie nierówna poprzerzynana łańcuchami gór, rozpadlinami lub paszczami wulkanów. Zachodzi jednak pytanie: czy ta powierzchnia nie ulega nigdy żadnym zmianom, czy skały i kamienie znalazły swe siedlisko wieczyste, czy też tak jak na ziemi, mają miejsce obrywanie się gór, lub tworzenie nowych wyniosłości przez wewnętrzną pracę wulkanów? W ostatku pozostaje do rozwiązania najważniejsza kwestya: czy księżyc tak jak ziemia posiada atmosferę gazową a w razie twierdzącym, czy można dostrzedz jakieś ślady życia organicznego jak to utrzymywali niektórzy uczeni. We wszystkich tych względach, aby dojść do przekonania opartego na pewnych danych, wypadało przedewszystkiem zrobić mapę o ile możności najdokładniejszą.

Pierwsza najdokładniéjsza nieco, zrobiona była przez Tomasza Mayera, mieszkającego w Gentyndzie w połowie osiemnastego wieku. Położenie jego, nie było godnem zazdrości w czasie wojny siedmioletniéj: oto obserwatoryum będące pod jego zarządem zamienionem zostało na prochownią; biedny astronom wraz z narzędziami z łatwością mógł być wysadzonym w powietrze, pomimo tego bez straty najmniejszéj chwili czasu zajmował się właściwą sobie pracą. Wtenczas to właśnie wykończył wzmiankowaną przez nas mapę księżyca, w rozmiarach jednak niewielkich ponieważ zawiera jedynie osiemdziesiąt dziewięć plam. Pomimo tego aż do roku 1824 był to jedyny obraz dokładniejszy naszego satelity.

Profesor Gruithuyzen zmarły w r. 1852, przy schyłku żywota wydał pracę pod tytułem: „Niezawodne wskazówki bytu istot żyjących na księżycu."

Na powierzchni księżyca, pomiędzy dwoma morzami zwanemi Nektorem, i Obfitością, znajdują się dwie płaszczyzny otoczone górami podobnemi do siebie jak najzupełniéj. Pomimo licznych i długich badań, nie zdołano wykryć jakiéjkolwiek, choćby najdrobniéjszéj pomiędzy niemi różnicy. Ta właśnie okoliczność nakłaniała astronomów, do badania téj części księżyca ze zdwojoną gorliwością. Poszukiwania ich były daremne. Tymczasem Gruithuyzen w pracy przez siebie ogłoszonéj zamieścił twierdzenie stanowcze: o zmianie położenia gór otaczających płaszczyzny nazwane Messier. na cześć astronoma francuzkiego, który je pierwszy odkrył i opisał.

Zdanie człowieka używającego tak wielkiéj powagi jak Gruithuyzen, zanadto było poważanem, aby miało przejść niespostrzeżone; wszystkie lunety astronomiczne na całéj kuli ziemskiéj, zwrócone zostały ku dwom okręgom gór księżycowych. Nie wspominając już innych, ale dwóch astronomów berlińskich Beer et Moedler w ciągu ośmiu lat, uskutecznili osiem pomiarów gór Messier, z których każdy dał wypadek stwierdzający ich tożsamość, tak pod względem wysokości jako téż i zewnętrznych kształtów. Zrobione sprawozdania w r. 1837 wywarły wpływ znaczny na sąd ówczesnych astronomów, którzy księżyc uważali za ciało martwe, po ostatnim stopniu rozwoju weszłe w stan spoczynku i wewnętrznéj nieruchomości.

Wnioski jednak tego rodzaju podane za pewniki, osłabione zostały nadzwyczajnie przez pracę pana Szmidta, dokonaną w ostatnich czasach. Uczony ten, pierwszy spostrzegł zniknienie prawie zupełne paszczy wulkanu Limeusza. Otwór jego chociaż niewielki, ze względu na swoje położenie odosobnione, w pośród ogromnéj przestrzeni morza zwanego Pogodnem, wielokrotnie był badanym za pośrednictwem szkieł mniejszéj potęgi niż dzisiejszéj. Pomimo ułatwionych warunków, wulkan dawniéj z łatwością rozróżniany, dzisiaj znikł jak najzupełniéj, co niewątpliwie jest dowodem zaszłéj zmiany na powierzchni księżyca.

Nie można wątpić o gorliwem badaniu przez Schmidta okręgów górnych Messier, wykonywał bowiem prace porównawcze przez trzydzieści dwa lat, które ostatecznie stwierdziły różnice uważane jeszcze przez Gruithuyzen. Wedle Schmidta jakoteż innych uczonych, koliste położenie gór uległo zmianie: wyniosłości otaczające jedną płaszczyznę stały się owalnemi, i przedłużonemi z zachodu na wschód, a drugie przeciwnie z północy na południe.

Nowy dowód zmiany na księżycu, zaczerpnąć można z prac dokonanych w ostatnich czasach przez astronoma Kleina.

W roku 1877 odkrył on nową paszczę wulkanową, obok wulkanu zwanego Hyginus którą okolicę sam Klein badał lat dwanaście i nigdy nie spostrzegł najmniéjszej rozpadliny. Ponieważ wulkan ten nie był widziany przez wszystkich uczonych Klein więc zalicza go do objawów tegoczesnych, co ostatecznie zniweczyłoby zrobione przypuszczenie, o nieruchomości wewnętrznéj, czyli zupełnéj martwocie księżyca.

W fizyce ciał niebieskich, jakoteż i wielu innych naukach możemy powiedzieć z zupełnem przekonaniem: wiemy to, że nic nie wiemy. Do poznania jednak księżyca i praw wewnętrznych jakim ulega, zrobiono ważny krok przez mapę Schmidta. Zyskaną została podstawa do dalszych badań co zawdzięczamy trzydziesto ośmioletniéj wytrwałéj pracy tego uczonego. Akademia zatem paryzka nauk nie wahała się przyznać mu jednéj z ważniéjszych nadgród, o którą dobija się za zwyczaj wielu współzawodników.

ДОЗВОЛЕНО ЦЕНЗУРОЮ. Варшава, 4 Іюня 1879 г. Redaktor J. K. Gregorowicz. Wydawca E. Skiwski. Druk E. Skiwskiego, Chmielna N. 1530 (20).

Dodatek.

SZALONE OŻENIENIE.

przez

M. A. Fleming.

przekład z Angielskiego

przez J. B.

(Ciąg dalszy).

— Fanny jest w ogrodzie. O! mój Eryku, jakże się cieszę że już jesteś w domu. Z jakiemże to upragnieniem oczekiwałam twojego powrotu. Spodziewałyśmy się ciebie w Londynie podczas sezonu.

— Spodziewałyśmy?... powtórzył jego lordowska mość tonem zapytania.

— Tak, ja i Fanny. Czy wiesz, Eryku, że Fanny była królową sezonu i najwięcéj odbierała hołdów? Lord Ewergoil i Berty Ormond oświadczyli się o jéj rękę, ale odmówiła; jednakże wielkie zagrażało ci niebezpieczeństwo...

— Doprawdy?... No, nie umarłbym z rozpaczy po utracie ręki panny Forrester, odrzekł zimno.

— Nie mówże tego, Eryku, rzekła lady Dynely spoglądając z przerażeniem na syna; wiem że żartujesz tylko, bo niepodobna byłoby lepszego zrobić wyboru. Panna Forrester pochodzi z jednéj z najstarożytniejszych rodzin, jest piękna, wysoko ukształcona i obok wielkiego majątku własnego, odziedziczy jeszcze ogromny majątek lady Caryll. Eryku, chyba umarłabym ze zmartwienia gdybyś się z nią nie ożenił.

— Eh! matko, dziś już doktorzy przekonali się że nikt nie umiera ze zmartwienia, to przestarzały zabobon który dawno już wyszedł z mody. Co zaś do wdzięków i przeróżnych doskonałości panny Forrester, uważam to właśnie za ciężar nader trudny do dźwigania; wiesz dobrze, matko, że przekładam kobiety mniéj nadludzkiemi obdarzone przymiotami, a co się tycze jéj bogactwa, zdaje mi się że majątek mój jest tak znaczny, iż nie potrzebuję się sprzedawać.

Lady Dynely zbladła straszliwie słuchając tego oświadczenia. Czyżby miał zamiar odmówić ręki Fanny i ogromnego jéj posagu? Czyż ma powiedzieć mu prawdę aby go skłonić do zawarcia tego małżeństwa? Zanim namyśliła się co ma czynić, Eryk dodał wesoło:

— No, dość jeszcze czasu na to wszystko, kochana matko; nie miejże tak przerażonéj miny jakby mnie jakieś niezwrotne spotkało nieszczęście... myślałby kto że jestem jakim biedakiem, zniewolonym polować na bogate panny aby nie umrzeć z głodu... Gdzież Fanny?... idę jéj poszukać i powitać.

— Przed godziną przechadzała się z panem Locksley po alei lipowéj.

— Z panem Locksley?... Jakieś nieznane nazwisko... Cóż to za jeden? pewnie jaki krewny kolegi Tennyson'a z Locksley-Hall?

— Nie; pan Locksley jest znakomitym artystą, i właśnie ma malować portret Fanny. Obrazy jego miały w tym roku wielkie powodzenie na Wystawie w Akademii; udało mi się nakłonić go aby przybył do nas.

— A! i pan artysta jest tu jakby w domu familijnym, a Fanny odbywa z nim samotne przechadzki? odrzekł marszcząc brwi. Zdaje mi się, matko, że nie dość pilnie czuwasz nad interesem twego syna... Powiadasz że są w lipowéj alei?, no, pójdę ja przerwać to sam na sam i sprowadzę ich do ciebie.

To powiedziawszy wyszedł; matka pozostała śledząc wzrokiem jego pańskie ruchy, chód zręczny i powolny.

„Coraz piękniejszy, pomyślała w uniesieniu uwielbienia; nie zdarzyło mi się nigdzie spotkać kogoś mogącego się z nim porównać. Oh! synu mój! gdybyś ty wiedział!... gdybyś wiedział że możesz zostać zupełnie bez majątku, zostać na łasce Terrego Denison! A! gdybym mogła raz zdobyć się na odwagę i raz już skończyć z tem kłamstwem, ukrywaniem prawdy i niepewnością!... Terry jest tak dobry, szlachetny i tak przywiązany do mnie... tak kocha Eryka... on wolałby umrzeć niż zrobić mi przykrość... W nim też cała nadzieja moja... o Boże! niech syn mój ukochany nie pokutuje za winy ojca!...

Była to modlitwa samolubna, może przewrotna, ale żarliwa i gorąca. Ulubieniec jéj znikł w oddali; wtedy jéj łzami zroszone oczy zwróciły się na inną postać, wyższą, lepiéj rozwiniętą, nie tak elegancką i zręczną, ale tchnącą większą siłą i męzkością; zwrócił jéj uwagę śmiech jego dźwięczny, szczery, wesoły jak studenta.

„Terry ulituje się nade mną, myślała; dusza jego taka wzniosła i szlachetna, a potrzeby tak ograniczone, żądania tak małe. Jemu wystarczy gaża oficerska i pięćset funtów dochodu, i byle tylko ożenił się z tą córką pastora, nic więcéj nie zapragnie. Jak powróci powiem mu wszystko i czuję że się dobrze skończy. A jednak... jakże on obejmuje okiem całą przestrzeń wielkiego parku, te lasy, pola, ogrody, fontanny, osrebrzone uroczem światłem księżyca; o! jest to poświęcenie tak wielkie, tak wielkie, iż na tysiące ludzi ani jeden nie zdobyłby się na nie.

Przeszedłszy aleję lipową, lord Dynely doszedł do małéj altanki kryjącéj się wśród najpiękniejszych kwiatów, z któréj roztaczał się prześliczny widok na las i na morze, a oświecało ją uroczo padające z góry bladawe światło księżyca. Szum morskich fal dochodził tu wyraźnie, i jakiż to widok przedstawił mu się w tem ukwieconem schronieniu.

Panna Forrester siedziała na ogrodowem krześle, w białéj powiewnéj sukni z błękitną szarfą; na głowie miała wieniec świeżych róż ślicznie odbijających od jéj wielkich ciemnych warkoczy, i takiż bukiet przy staniku; tuż przy niéj leżał na murawie ładny słomkowy kapelusik, a na kolanach wielki bukiet bzu; rozmarzonym wzrokiem wpatrywała się w niebo i w morze, a niekiedy w mężczyznę siedzącego przy jéj stopach na murawie i czytającego głośno *Maud'a* Tennyson'a. Lord Eryk nadszedł właśnie gdy czytał ten ustęp:

„Powiedziałem róży: noc minie szybko, na zabawie, pogadance, rozkoszy. O! młody zakochany zapaleńcze, czemu tak wzdychasz do piękności co nigdy nie będzie twoją, ale moją, moją, moją — tak przysiągłem róży, moją na zawsze, na zawsze!

To dopiero miłe słowa usłyszał na powitanie lord Dynely i piękny przedstawił mu się obraz!

„A niech licho porwie, tego jakiegoś przybłędę artystę... to dopiero zarozumialec!...

„Szykowny jakiś i dobrze się przedstawia! myślał sobie, nie ma co mówić. Już to ci malarze ze swemi długiemi włosami, rozmarzonem wejrzeniem i twarzą jakby natchnioną mają dar podobania się kobietom. Proszę, czyta siedząc u nóg Fanny, téj Fanny którą on uważał dotąd za najdumniejszą ze wszystkich znanych mu panien. Pewny był że oczekuje go niecierpliwie i cierpi nad jego nieobecnością... czy to zalotność czy tylko ona szuka rozrywki w domu, podczas gdy on bawił się i używał świata za granicą?...

— Może to nie bardzo zręcznie przychodzić niespodzianie, rzekł zbliżając się; jeźli nie jest to zbyt natrętne wymaganie, może panna Forrester raczy się odwrócić i powiedzieć mi dobry wieczór?

I stanął przed nią z uśmiechem na ustach, w jednéj ręce trzymając kapelusz, drugą wyciągając na powitanie. Fanny zbladła mocno i powstając na wpół, zawołała:

„Eryk!

— Tak, panno Forrester, Eryk; przybywam nakoniec. Stałem z pięć minut słuchając tego pięknego poetycznego ustępu i napawając się pięknym widokiem jaki przedstawialiście państwo we dwoje wśród zmroku. Proszę racz mnie przedstawić, panno Forrester.

— Nie trudź się pani, myślę że lord Dynely pozna mnie — chyba że ma bardzo krótką pamięć.

Mówiąc to, Locksley powstał i lord Dynely pierwszy raz zobaczył go z twarzy. W oczach jego szczera zajaśniała radość, i wbrew swemu zwyczawi bardzo serdecznie uścisnął dłoń artysty.

— Locksley! cóż to za miła niespodzianka, drogi mój przyjacielu. Matka moja wprawdzie wymieniła mi twoje nazwisko, ale nie przyszło mi na myśl że to ty być możesz, nie spodziewałem się zobaczyć cię w Anglii.

Locksley się uśmiechnął.

„Rzeczywiście główna moja kwatera jest we Włoszech, ale od dwóch lat już bawię w Anglii.

— Więc nie pierwszy raz spotykacie się panowie i dlaczego nie wspominałeś mi nic o tem, panie Locksley?

— Nie było o czem mówić, odrzekł. Przed dwoma laty miałem sposobność oddać małą przysługę lordowi Dynely i przez kilka następnych tygodni widywaliśmy się często, ale nie wiedziałem czy to pamięta—dwa lata to tak znaczny przeciąg czasu że wiele rzeczy zapomnieć można.

— A! jak zawsze i teraz jesteś istnym Diogenesem tylko bez beczki i kapuścianych liści. Nazywasz to małą przysługą... słuchaj, Fanny, on mi ocalił życie. Łódź moja przechyliła się w zatoce Neapolitańskiéj i już miała zatonąć, gdy Locksley przybiegł mi na pomoc z narażeniem własnego życia, widzisz więc że gdyby nie on, szlachetny ród Dynely byłby zaginął. Sam nie pojmuję jak się to stać mogło że nie przypomniałem sobie ciebie gdy matka wymieniła twoje nazwisko, ale szczęśliwy jestem widząc cię w naszym domu.

Fanny podniosła się z krzesła i wszyscy zwrócili się ku domowi. Noc już zapadła; drzewa rzucały cień czarny, odbijający od bladego księżycowego światła. Towarzystwo grających w krokiet także przeszło już do salonu, rozpoczęła się muzyka i tańce. Terry stał na peronie pogwizdując i wpatrując się w księżyc; podbiegł prędko ku Erykowi wyciągając ręce, a oczy jego szczerą zabłysły radością.

„Kochany Eryku, zawołał, mocno ściskając jego dłonie, jakże się cieszę żeś nareszcie przyjechał; myślałem że już nie wrócisz do nas, że stary jakiś hidalgo, wściekłą uniesiony zazdrością, ugodził cię w jakimś zaułku pod piąte żebro. Dopieroż to ucieszy się lady Dynely!

— Aj! aj! nie tak mocno, Terry, zawołał lord Dynely krzywiąc się lekko i wysuwając delikatną rękę. Nie mam nic przeciw umiarkowanéj dawce uczucia, ale tylko niech tak silna jak twoja ręka nie staje się tłómaczem serca wezbranego uczuciem. Jakże oni tam wesoło się bawią!

— Weszli do salonu. Tu znów nastąpiły przedstawienia i różne grzeczności; pan domu i właściciel Dynely powrócił i obecność jego zaraz uczuć się daje. Znikły tęsknota i smutek; gospodarz zapomniał że jest przesycony i znudzony i tańczy tak wesoło jakby jaki student w Mabille.

Fanny nie tańczy, tłomacząc się że jest zbyt gorąco i że musi pomagać lady Dynely w zajęciu się gośćmi; Locksley pożegnał się z nią i wyszedł.

— Skądżeście wytropiły tego Locksley'a, Fanny? zapytał Eryk po jego wyjściu.

— Wytropiły?... nie rozumiem tego wyrażenia. Pan Locksley dał na Wystawę tegoroczną jeden z najpiękniejszych obrazów, który zakupiono za bajeczną sumę; został zarzucony zamówieniami i jedynie przez szczególne względy dla lady Dynely zgodził się na wyjazd do niéj aby odmalować mój portret.

Lord Dynely dostrzegł że powiedziała to z pewnym przymusem.

— Ach! wielka to grzeczność z jego strony, odpowiedział. Locksley jest znakomitym artystą a obok tego ukształconym i dystyngowanym człowiekiem, tylko dziwnie jakoś przezorny i zamknięty w sobie. Jest w nim coś tajemniczego; zakrawa na jakiegoś Warrington'a lub Rochester'a z romansów, co to gdzieś na krańcu świata zostawili występne żony. Muszę zobaczyć twój portret, Fanny. Czy podobny?

— Zdaje mi się bardzo podobny... ale pozowałam dopiero dwa czy trzy razy.

— Jak dawno bawi tu Locksley?

— Od dwóch tygodni.

Chwila milczenia. Eryk wsparty o poręcz krzesła przypatruje się pannie Forrester; ona jest trochę blada i jakaś poważna, ale bardzo, bardzo ładna.

„Odmieniła się bardzo na korzyść, pomyślał z zadowoleniem, gdyż zawsze przekładał brunetki; taką żoną można się pochlubić. Piękna, dystyngowana, odebrała bardzo świetną edukacyę, umie z niezrównanym wdziękiem robić honory domu, a choć, co prawda za nadto nauki i rozumu w téj ślicznéj główce, no! żonie można to jeszcze tolerować... Muszę wymódz na Locksley'u żeby zrobił dla mnie kopią twego portretu, rzekł nareszcie pochylając głowę i patrząc na nią czule. Fanny, ani jednem jeszcze słówkiem nie dałaś mi poznać że cieszy cię mój powrót.

— Cóż za potrzeba powtarzać oklepane formułki, odpowiedziała niedbale. Wszak to wiadome i konieczne? dodała.

— Byłem zniewolony zatrzymać się w Saint-Jean, a tak pragnąłem cię zobaczyć, łatwo więc pojmiesz z jaką niecierpliwością oczekiwałem téj chwili.

— A zapewnie, pojmuję doskonale, i nagle zapominając dotychczasowéj powagi, spojrzała na niego i roześmiała się. O tak! dodała, jakże nie pojąć palącéj niecierpliwości, gorączkowego pośpiechu z jakim pochłaniałeś przestrzeń przebywając Pyreneje i Francyę aby tu przybyć... Wiesz co, Eryku, nie praw mi nigdy podobnych banialuków, może one uchodzą w Hiszpanii, ale do mnie z niemi nie występuj.

— A! zawsze nieltościwa i szyderska! A więc tak, potrzebowałem już wracać do domu, gdyż kaducznie tam było gorąco, a jakież widoki i krajobrazy mogą nas zajmować, tam gdzie termometr pokazuje w cieniu 50 stopni gorąca?... Ale ty, Fanny, wypiękniałaś jeszcze podczas tego sezonu, nigdy nie byłaś tak uroczą i zachwycającą jak obecnie. Sława twoich tryumfów i odbieranych hołdów doszła aż za Pireneje; dowiedziałem się tam że piękna panna Forrester, już nie setki, ale tysiące serc zdobywała, a pod ogniem spojrzeń jéj czarnych oczów, mężczyźni padali jak kłosy pod sierpem żniwiarza.

— Ach! mój Eryku, odrzekła grzecznie tłumiąc ziewnięcie, czy cię nie trudzi mówić tak wiele. Dawniéj nie miałeś zwyczaju rozprawiać tak długo, i chyba tylko dwuletnia praktyka prawienia komplementów, może tłomaczyć tę zmianę.

— Proszę cię, Fanny, przejdź na taras, odpowiedział tylko, i poprowadził ją tam choć żadnéj do tego nie okazała ochoty.

Czuł się coraz żywiéj nią zajętym; nie była to głęboka miłość, ale drażniła go ta nowa piękność. Było to podobne zajęcie jakie inna jakaś budziła w nim w przeszłym tygodniu, a inna znów obudzi za tydzień może, ale to pewna że w téj chwili był zupełnie szczerym i sam wierzył w to co mówił. I po co ma odwlekać? dlaczego nie miałby się oświadczyć zaraz? Wszak nie ma mężczyzny w Anglii, któremuby podobna żona nie przyniosła zaszczytu?

Księżyc rozlewał blade swe światło po nad tarasem i posrebrzył drzewa swemi promieniami; kamienne urny przybrały odcień perłowy, a kwiaty zdradzały swą obecność, upajającą woń roztaczając do koła.

— Ach! rzekła Fanny z westchnieniem, co za przepyszna noc!

— O tak! odrzekł, wznosząc w niebo swe rozmarzone niebieskie oczy, cudne jest to światło księżyca, a godziny w których ono przyświeca, to godziny miłości i wszystkiego co się do niéj odnosi — nieprawdaż Fanny, wszakże tak powiedział poeta?

— Poeta... a jaki poeta? jakoś bardzo ogólnikowo wyrażasz się lordzie Dynely.

— Ach! Fanny, jak możesz śmiać się ze mnie.

— Śmiać się! nigdy w życiu nie byłam mniéj usposobioną do śmiechu. W téj chwili to głównie mam na myśli że już jest wpół do dwunastéj, że jestem zmęczona dwugodzinną grą w *kroket* i że chcę i muszę powiedzieć ci dobranoc i udać się na spoczynek.

— Chwilkę jeszcze, Fanny.

I zatrzymał ją ująwszy jéj rękę.

— Ach! jakże śliczną masz rączkę, rzekł czule, mogłaby służyć za model snycerzowi. Czy raczysz zezwolić abym do tych błyszczących na niéj rubinów i dyamentów, dodał pierścionek zaręczynowy? Raz już dawniéj prosiłem cię o to w Rzymie, ale nie chciałaś przychylić się do méj prośby; czy pamiętasz o tem, droga Fanny?

Fanny spojrzała na niego, roześmiała się i wysunęła rękę.

„Nie tracisz czasu, lordzie Dynely; tak gwałtowne i pośpieszne zaloty, prawie odetchnąć nie dadzą. Mam już aż nadto pierścionków, jeden jeszcze więcéj nabawiłby mnie tylko kłopotu co z nim zrobić. Dajmy pokój tym żartom, Eryku. Ani trochę nie jesteś zakochany we mnie, i taką masz ochotę żenić się ze mną, jak ja iść za ciebie. I po co mamy trudzić się wyznaniami miłosnemi, w które zarówno nie wierzymy oboje. Sprawi to przykrość dwom zacnym kobietom, ale nie ma rady. Chciéj postąpić jak zacny i dobry chłopiec, lordzie Dynely, idź do matki twojéj i powiedz żeby sobie wyperswadowała nasz związek i poszukała innéj synowéj."

Oczy Eryka zabłysły; każdy opór zazwyczaj go podnieca, taka już jego natura.

— Nigdy jéj tego nie powiem. Kocham cię, Fanny, zawsze cię kochałem, i ty jedną będziesz moją ukochaną, ubóstwianą żoną.

— Czy mniemasz że zdołasz wmówić to we mnie?

— Spodziewam się że uwierzysz prawdzie. Czyż mogłabyś odmówić mi, po tylu latach, po wszystkiem co zaszło między nami?...

— Co zaszło między nami?... powtórzyła patrząc mu prosto w oczy. Nie rozumiem cię, lordzie Dynely. Cóż takiego miało miejsce kiedykolwiek?

— Wiedziałaś że cię kocham i nie odbierałaś mi nadziei... Wszak wiesz iż już oddawna było ułożone że mamy się pobrać z sobą.

— I zamierzasz zmusić mnie do wykonania podobnéj umowy.

— Kocham cię, i będę najnieszczęśliwszym z ludzi jeźli nie zostaniesz moją żoną.

— To nie bardzo szlachetnie, wyszeptała. Chcesz zmusić mnie abym choćby wbrew woli mojéj wykonała umowę, do któréj, jak wiesz, zupełnie nie należałam.

Eryk odrzekł tylko:

— Kocham cię, Fanny, i chcę abyś została moją żoną.

Stała zapatrzona w zasiany gwiazdami firmament, w drzewa i krzewy osrebrzone światłem księżyca, blada, z zaciśniętemi ustami, smutna i zasępiona.

„To niedelikatnie... nieszlachetnie, zawołała nareszcie, zmuszać mnie do spełnienia umowy któréj ja nie zawierałam nigdy. Nie godzi się tak postępować, Eryku. Nie kochasz mnie... sza! zawołała nie dając mu mówić—i choćbyś mi to przysięgał do końca życia, nigdy temu nie uwierzę. Wierz mi, znam cię lepiéj niż ty siebie. Teraz jesteś szczerym i wierzysz w to co mówisz, ale za tydzień możesz zapomnieć nawet że ja żyję na świecie. Pod każdym względem nie byłabym odpowiednią dla ciebie żoną; tobie potrzeba kobiety coby cię uwielbiała jak bożyszcze i zawsze była u stóp twoich, ja nigdy nie byłabym taką. Chciał coś powiedzieć, odwróciła się zniecierpliwiona. Daj mi pokój, proszę, dziś nie mogę dać ci stanowczéj odpowiedzi. Rosa pada, wróćmy do pokoju. Nie chciałabym sprzeciwiać się lady Caryll, ani zrobić przykrości twojéj matce, bo co do ciebie, to gdyby cię to nawet miało zasmucić, nie troszczę się o to bynajmniéj, bo wiem że się niebawem pocieszysz.

— Fanny, nie masz litości nade mną! rzekł unosząc się.

— Nie, Eryku, mówię tylko prawdę. Proszę

dozwól mi się oddalić... będzie to lepiéj dla nas obojga.

— O nie! nie dozwolę ci się oddalić, odrzekł z żywością;—jeźli mnie odtrącisz stanowczo muszę poddać się téj smutnéj doli, ale nigdy nie zezwolę na to aby Fanny Forrester uczyniła wybór niegodny siebie.

Spojrzała na niego; oczy jéj wyrażały gniew i oburzenie.

— Bardzo stosowne odezwanie się, rzekła tylko. Dziś jeszcze nie mogę odpowiedziéć stanowczo, proszę o tydzień czasu do namysłu... Jeźli w tym przeciągu czasu nie zmienisz zamiaru, zechcesz przyjść do mnie po odpowiedź!

I dumnie podniosłszy głowę, przeszła koło niego i wróciła do salonu, dozwalając mu rozmyślać przy świetle księżyca.

Rozdział VII.

Tydzień wytchnienia.

Wróciwszy do swego pokoju, panna Forrester usiadła przy oknie wpatrując się w noc jasną i milczącą. Dotąd nigdy tego ułożonego związku nie uważała za nic stanowczego, i słusznie powiedziéć mogła że znała Eryka lepiéj niż on sam siebie. Wiedząc jak nie umiał pojąć wielkości obowiązków i świętości małżeństwa, przypuszczała iż bardzo być może że w swéj bezcelowéj włóczędze po świecie, spotka jaką piękną awanturnicę, która korzystając z chwilowego szału, nakłoni go do zawarcia małżeństwa, co mogłoby niespodzianie uwolnić ją od niemiłych zamiarów i nalegań.

Eryk należał do tych mężczyzn u których miłość nie w sercu ale w oczach powstaje; mógł on w jednéj chwili zapomniéć obecnych uczuć, aby nowéj oddać się miłości. Bardzoby więc stać się mogło że różane pęta jakiejś pięknéj przywłaszczycielki serc mogłyby skrępować Eryka, a wtedy ona byłaby wolną i swobodną, nie męczonoby ją projektami tak niemiłemi dla niéj.

Fanny nie czuła dla Eryka ani niechęci ani nienawiści, dość go nawet lubiła, ale śmiała się z jego wyznań miłośnych, parodiowała piękne jego słówka, naśladowała jego nieco przeciąganą wymowę, czułe lub znudzone spojrzenia i obchodziła się z nim prawie tak jak z Terrym z tą różnicą, że dla Terrego miała rzeczywisty szacunek jakim nigdy nie cieszył się Dynely.

„Nigdy nie mogłabym być żoną podobnego tobie człowieka, Eryku, mawiała mu nie raz. Jesteś pięknym, masz rysy regularniejsze od moich, a ja nie lubię pięknych mężczyzn; daléj fryzujesz włosy, czernisz swoje ledwie dające się dojrzéć wąsiki i perfumujesz się jak fryzyerczyk. Głównym przedmiotem twoich myśli są wdzięki twoje i ubiór, któremi żywiéj się zajmujesz niż jaka młoda markiza, a w całéj twojéj wypieszczonéj figurce, od stóp do głów nie ma ani łuta zdrowego rozumu. Ja zaś pragnę aby człowiek któremu oddam rękę był mężczyzną w całem słowa tego znaczeniu, mężczyzną z głową i z sercem, a ty, biedny mój Eryku, nie jesteś takim i nigdy nie będziesz, a w dodatku jesteś za piękny.

— Pierwszy to raz zapewnie kobieta czyni podobny zarzut ubóstwiającemu ją mężczyźnie, odrzekł z uśmiechem Eryk!

— Tak jesteś za piękny, powtórzyła jakby z litością, a piękność jest to rzecz najniebezpieczniejsza dla mężczyzny, bo zazwyczaj przewraca mu w głowie. Ty, Eryku, jesteś dandysem pierwszéj wody, szalenie zakochanym w sobie... Zresztą wiesz o tem dobrze; wszak jeszcze w Eton przezwano cię „Piękną buzią...“

— Pamiętam, pamiętam, odrzekł z przymuszonym uśmiechem.

— Tak więc sam widzisz że związek nasz byłby największą niedorzecznością i jest materyalnem niepodobieństwem, więc nie mówmy nawet o nim. Nie zabraniam ci zalecać się do mnie ogólnikowo, bo to jedyne twoje zadanie na świecie i byłoby okrucieństwem przeszkadzać ci w jego spełnianiu, ale poprzestańmy na ogólnikach i nie wdajmy się w nierozsądne rozmowy o przeszłych lub obecnych zobowiązaniach, połączeniu się w przyszłości i tym podobnych bredniach, bo sam wiesz, Eryku, że z tego nigdy nic nie będzie.

— Nigdy, Fanny... czy rzeczywiście nigdy?

— Rzeczywiście... jak najrzeczywiściéj, nigdy, nigdy, nigdy! Nie wybrałabym cię za męża, choćbyś był jednym, jedynym mężczyzną na świecie, i choćby odmowa moja miała spowodować zagładę całego naszego niewieściego rodzaju. Jestem dla ciebie najżyczliwszą przyjaciółką, ale cię nie kocham a chcę kochać tego co ma być moim mężem, chcę kochać go z całego serca, z całéj duszy, będzie on moim panem, moim władcą, moim ideałem.

— Słowem będzie to uosobiona doskonałość, dodał z ironicznym uśmiechem Eryk.

— Masz słuszność; to pewna że nie będzie to wielkomiastowy elegancik, skończony manekin swego krawca, zbyt zakochany w sobie aby mógł kochać żonę, ale mąż żelaznéj woli, silny, odważny i szlachetny jak bohater, którym mogłabym się chlubić i być dumną z jego wyboru, który nie marnowałby życia na próżniactwie, myśląc tylko jak się ubrać i jak rozdzielić włosy, a prawienie grzeczności i czułych słówek kobietom jedynem życia jego zadaniem. Nie będzie to modniś i dandy, wiecznie zakochany coraz w innéj, powtarzający nieustannie jedne wyznanie miłości, coraz innéj kobiecie.

Oto w jaki sposób panna Forrester przemawiała często do Eryka, wtedy jeszcze gdy miała zaledwie lat szesnaście, a słowa jéj nie raz żywo go dotknęły. Dziś już przemawia tak stanowczo, myślał nie raz, jakże to będzie samowolna doszedłszy lat choćby dwudziestu!...

I litował się że tak nie ma gustu. Wszystkie niemal panny bały się jego pięknych oczu, a Fanna traktowała je tak pogardliwie... Jednak do owéj wieczornéj rozmowy na tarasie, nie przywiązywał wielkiéj wagi do podobnych oznajmień panny Forrester, ale dziś zaczął poważniéj zastanawiać się nad niemi.

Fanny, z swéj strony, przypomniała sobie co mówiła mu przed paru laty:

„Będzie przewyższał innych mężczyzn, będzie to człowiek którego nazwisko złotemi literami wypisane będzie w księdze sławy.“

Czyżby spotkała takiego człowieka?... Tak, od chwili gdy zobaczyła obraz *„Ostatnie rozłączenie“* poznała prawdę, zrozumiała dla czego tegoroczne lato wydawało jéj się piękniejsze, milsze, świetniejsze niż kilkanaście innych które przeżyła; uczuła że uśpione jéj serce zbudziło się do życia, i że w pośród tylu mężczyzn ona widziała jego tylko jednego.

A teraz właśnie inny domaga się jéj ręki, i co przez lat parę brała prawie za żart, zamienia się w poważną groźbę.

Eryk powrócił z podróży po obczyźnie wolny od wszelkich zobowiązań i pragnie urzeczywistnienia projektu układanego przez matkę jego i panią Caryll gdy oboje jeszcze byli dziećmi. A do pewnego punktu obowiązana była spełnić ich zamiar, bo choć ułożono go bez niéj, jednak wyraźnie nie oświadczyła się przeciw niemu, i prawie potwierdzała go milczeniem.

Panna Forrester była dumna i miała nadzwyczaj wzniosłe pojęcie o honorze i sumienności; nie była wcale zalotną; wprawdzie wszyscy ją uwielbiali, wielu się kochało, kilku oświadczyło się o jéj rękę, ale ona niczem a niczem nie dała do tego powodu. Jeźliby prawość i sumienność nakazywały pójść za lorda Dynely, nie cofnie się przed spełnieniem tego ciężkiego obowiązku, choć wie, i zawsze wiedziała że on jéj nie kocha, że jeżeli pójdzie za niego będzie najnieszczęśliwszą, najmniéj kochaną i najwięcéj zaniedbaną żoną... jeźli jednak koniecznie będzie się domagał... jeźli lady Dynely i lady Caryll nalegać będą... cóż poczniе?...

Wrodzona szlachetność charakteru nie dozwalała jéj stać się powodem smutku i zmartwienia ukochanych osób, a wiek młodzieńczy kazał jéj uważać zaparcie się i poświęcenie siebie jako najwznioślejsze cnoty chrześciańskie, piękną opromienione aureolą. Tak, nie wolno jéj wahać się, jeźli lord Dynely będzie się domagał zawarcia dawno ułożonego związku odda mu swoją rękę.

W téjże chwili, wśród cieni księżycowéj nocy, ukazała się jéj postać Locksley'a z jego poważnem, smętnem, teraz pełnem wyrzutu spojrzeniem, z wysokiem czołem na którem czytać można wzniosłe myśli... i wydał jéj się najpiękniejszym w świecie. Zakryła oczy jakby chcąc odegnać to widzenie.

„Nie, nie mog... nie mogę pójść za Eryka! szepnęła. Jakież to samolubstwo, jaka nieszlachetność, okrucieństwo nawet, żądać odemnie spełnienia przyrzeczenia którego nigdy nie uczyniłam...

I znów miała jakby widzenie w którem ukazało się jéj jaka byłaby jéj przyszłość gdyby została żoną Locksley'a. I twarz jéj rozpromieniała, radość zabłysła w oczach. Połączywszy jéj majątek z jego geniuszem, obok wielkiéj, bezgranicznéj wzajemnéj miłości, jakaż to świetna i szczęśliwa czekałaby ich przyszłość! bo on ją kochał, była tego pewną miłość jego czuła w swéj duszy, w podwojonem serca swego biciu!...

Wtem przypomniały jéj się słowa bezmyślnie powiedziane przez Eryka:

„Jest w nim coś tajemniczego, zakrawa na bohatera romansu, co gdzieś na krańcach świata zostawił występną żonę.“

I zadrżała na to wspomnienie. Czyżby słowa te miały jakieś znaczenie, lub czy to tylko wybryk złośliwéj zazdrości?... Ależ ów obraz *O zmroku...* ależ domysły jakie w jéj własnéj powstały głowie?... Kto odsłoni jéj tajemnicę kryjącą się w przeszłości tego człowieka?... bo wszystko w nim zdaje się mówić że ma jakąś tajemnicę która oddziałała na całe jego życie, tak niepospolite, tak różne od życia zwykłych ludzi.

Westchnęła ciężko; zerwała się nić jéj marzeń, wstała prędko, zamknęła okno i udała się na spoczynek.

Gdy nazajutrz przyszła na śniadanie, była bardzo, bardzo blada. „Trochę za blada, pomyślał sobie Eryk, ale bardzo ładna... a do tego jakiż to prawdziwie pański wdzięk w każdym jéj ruchu i słowie, w całem obejściu. Prześlicznie wyglądać będzie w ślubnym welonie i w wieńcu z kwiatu pomarańczowego, w białéj jedwabnéj, bogatemi koronkami pokrytéj sukni. Kościół ś. Jerzego będzie natłoczony, a wszyscy znajomi zazdrościć mu będą tak ślicznéj oblubienicy.

Zawsze i wszędzie przedewszystkiem myślał o sobie.

„Czy Locksley dziś przyjdzie? czy będziesz pozować, Fanny? chciałbym zobaczyć portret. Ale, nie wiem jeszcze czy on tu przychodzi lub też czy ty udajesz się do jego pracowni? czy Mahomet przychodzi do góry, czy góra do Mahometa?... Nie dość dla mnie że posiędę oryginał, chcę jeszcze koniecznie mieć kopię tego portretu.

Powiedział to cicho, tak czule i z tak wymownem spojrzeniem iż mogłoby być niebezpieczne dla każdéj innéj kobiety, odnośne do Fanny, chybiło celu.

„Wątpię bardzo, Eryku, aby pan Locksley miał czas robić kopię; tak sławni i znakomici artyści, zwykle wcale nie chcą malować portretów. Ale otóż i pan Locksley.

Zarumieniła się mocno; dostrzegł to lord Dynely i zmarszczył brwi ale chwilowo tylko, bo lękał się aby ściąganie brwi nie spowodowało czasem zmarszczek na jego pięknem czole.

— Bardzo to dystyngowany człowiek, rzekł lord Dynely, z pozorną obojętnością. Widywaliśmy się z sobą często w Neapolu. Lepiéj niż ktokolwiek umie opowiedzieć jakąś historyjkę lub wypowiedzieć poobiednią mówkę. Towarzystwo w jakiem żył, po większéj części sami artyści malarze, często napomykali coś o téj porzuconéj żonie, i to pewna że ona istnieje, a co więcéj, podobno w téj okoliczności Locksley nie bardzo chwalebnie postąpił sobie.

Fanny rzuciła nań pogardliwe spojrzenie.

— Nie bądź złośliwym, Eryku. Nienawidzę mężczyzn zniewieściałych, a cóż może być więcéj niewieściego jak obmawiać nieobecnych przyjaciół. Zostaw to intrygantkom i podstarzałym pięknościom.

To powiedziawszy odwróciła się dumnie i postępując naprzeciw Locksley'a, podała mu rękę z nieopisanym wdziękiem i serdecznością.

— Wszak pozwolisz zobaczyć portret, Locksley'u? zapytał Eryk.

Artysta zezwolił i udano się do pokoju w którym Fanny pozowała; Terry który nadszedł w téj chwili poszedł za niemi.

Portret nie jest jeszcze skończony, brak wielu szczegółów, ale pendzel prześliczny i podobieństwo uderzające.

Twarz wysuwa się jakby z obłoków; na ślicznych ustach osiadł poważny uśmiech; oczy błyszczą pogodnem światłem obok głębokości spojrzenia, co całéj twarzy nadaje idealny wyraz. Śliczna kobieta pozowała do portretu, artysta nie wiedząc o tem odmalował niebiańską jakąś istotę.

Fanny przygląda się portretowi i zarumieniła się mocno. O nie! ona nie ma tak anielskiego spojrzenia, żyje na ziemi i wie że jest ziemską istotą... nie ma w niéj nic anielskiego, a on odmalował raczéj anioła niż kobietę.

„A! rzekł Eryk, na wzór krytyków zasłaniając oczy ręką, bardzo dobrze... prześlicznie... dodaj tylko aureolę po nad głową i nazwij to obrazem ś. Cecylii lub ś. Teresy, a podobieństwo będzie wyborne. Śliczny to obraz, ale to nie jest portret twój, Fanny; nie masz wcale takiego wyrazu twarzy.

— Prawda, ze smutkiem wyznać muszę, że masz słuszność.

— Jest to, jak już powiedziałem, rzekł Eryk, śliczny obraz, ale jako portret niepodobny; ja wolę twój naturalny wyraz twarzy.

— Mnie się zdaje że portret jest podobny, tylko nadzwyczaj pochlebiony, rzekł Terry.

Fanny wdzięczne rzuciła mu spojrzenie.

— O! masz słuszność, Terry, rzekła spokojnie, portret jest zanadto pochlebny. Pan Locksley odmalował go według tego jak on patrzy na rzeczy w głębi duszy, protret zatem przedstawia doskonale jaką mogłaby być Fanny Forrester, a nie taką, niestety! jaką jest rzeczywiście.

Locksley nie bierze żadnego udziału w rozmowie całkiem zajęty wykończeniem portretu. Terry ziewa głośno i pogwizduje nielitościwie, wpatrując się w pracę artysty aż Fanny prosi go aby sobie poszedł i nie drażnił jéj nerwów. Eryk już to chodzi po pokoju, już wygląda oknem z miną znudzonego patrycyusza; pozostał do końca posiedzenia, a potem poszedł za Fanny do ogrodu. Cały dzień ściga ją jak cień i korzysta z najmniejszéj sposobności aby jéj prawić czułe słówka.

Tejże samej taktyki trzymał się przez cały obiad, a wieczorem miłość jego spotęgowała się jeszcze, i w owéj chwili była rzeczywistą i szczerą. Dopokąd był pewnym posiadania Fanny, była mu obojętną, ale dziś, gdy mógłby ją utracić, pragnie wszelkiemi siłami przekonać ją o swéj gwałtownéj namiętności. Widzi że Locksley ją kocha... a może i ona... Potwór zazdrości dmie i podnieca mały początkowo ogień jego miłości, przetwarzając go w stos gorejący. Musi otrzymać rękę panny Forrester lub poznać powód odmowy.

Fanny znosi to do czasu, ale pewnie nie długo to potrwa, gdyż nie odznacza się cnotą nie przebranéj cierpliwości. Nareszcie gdy Eryk całą godzinę męczył ją czułemi oświadczeniami, zawołała unosząc się:

„Dajże mi pokój choć na chwilę, Eryku. Idź graj w szachy z matką, rozmawiaj z Terrym, lub z panem Steeves, zalecaj się do panny Hanford, idź do ogrodu wypalić cygaro, rób co chcesz ale daj mi spokój.

Odszedł, dotknięty w swéj pysze.

— Zastosuję się do twéj woli; a skoro obecność moja tak ci jest przykrą, może najlepiéj bym zrobił gdybym zupełnie stąd się oddalił.

— Właśnie chciałam cię o to prosić, odpowiedziała łagodnie. Odejdź choćby na tydzień. Męczysz mnie niewymownie tem nieustannem naleganiem. Proszę cię, Eryku, dozwól mi choć kilka dni odetchnąć spokojnie, jeźli rzeczywiście tak żywo cię obchodzi moje postanowienie.

— Jeźli mnie ono rzeczywiście obchodzi!... powtórzył z wyrzutem.

— Im szlachetniejszym się okażesz, tem lepiéj sądzić cię będę. Po upływie tygodnia, jeźli zechcesz wracaj po... stanowczą odpowiedź.

— Ach! Fanny, jeźli odpowiedź ta będzie przychylną; jeźli... O tak! będzie, musi być przychylną! zawołał.

— W takim razie, odrzekła drżącym głosem, odwracając twarz od światła. w takim razie nigdy nie usłyszysz z ust moich skargi na twoje nadskakiwanie i grzeczności.

Ujął jéj rękę i pocałował.

— Wyjadę, rzekł łagodnie; przebacz mi, Fanny, ale sama myśl utracenia ciebie tak jest dla mnie straszną, że...

— Dajmy już temu pokój, odrzekła smutnie. Gdzież pojedziesz?

— Do sir Filipa Carruthers, w hrabstwie Lincoln. Już od dwóch lat zaproszony jestem do jego zamku.

— Co mówicie o hrabstwie Lincoln? zapytał Terry wchodząc, właśnie tam jadę, czy i ty tam się wybierasz, Eryku?

— Tak, na tydzień, jadę do zamku Carruthers. Cy znasz tę posiadłość?

— Jakże mógłbym nie znać, skoro leży tylko o trzy mile od wikariatu Starling. Bardzo by mi było miło spotkać się tam z tobą; okolica obfituje w ryby i zwierzynę, mógłbyś bawić się rybołówstwem i polowaniem.

— A nadto, dodała Fanny, jest tam dziewięć dorodnych panien Higgins, wszak tak Terry? Otóż przestrzegam cię nie dozwalaj Erykowi polować na twoim gruncie, wiesz przecie że to jego słabość.

Mając zapewniony tydzień wytchnienia, Fanny uspokoiła się. Cały tydzień, któż wie jakie zmiany zajść mogą w tym przeciągu czasu!

Stanęło na tem że obaj młodzi mieli wyjechać razem; lady Dyneli zgodziła się na to nareszcie.

„Nie zapominaj tylko Terry, rzekła żegnając się i niespokojnie patrząc mu w oczy, nie zapominaj że masz wracać za tydzień i że w tym przeciągu czasu nie masz jeszcze oświadczać się pannie Higgins. Wymagam tego nieodwołalnie... Gdy się dowiesz co mam ci powiedzieć...

Patrzył na nią z niespokojnem zadziwieniem. Czemu lady Dynely tak pobladła mówiąc to do niego? co mogło nadać jéj twarzy wyraz takiéj obawy i jakby przerażenia?... Jakaż to kryje się w tem tajemnica?... Czyż może wątpić że on zawsze i wszędzie będzie jéj posłuszny?...

Prawie nie potrzebowała aby ją o tem zapewniał, a jednak z jakąż to trwogą i niepokojem patrzyła, stojąc na stopniach peronu, na odjeżdżających Eryka i Terrego, śledząc ich wzrokiem jak daleko dojrzéć mogła.

— Dzięki niebu! pomyślała Fanny, mam przed sobą tydzień spokoju... Zaczynam się przekonywać że obecność mężczyzn w domu, jest powodem kłopotów i nieprzyjemności. Jak drożdże w piwie, zamieniają spokojny bieg życia kobiety w jakiś kwas fermentujący.

— Fanny droga, rzekła lady Dynely po odjeździe syna, biorąc obie jéj ręce i patrząc jéj w oczy, wiem że masz Erykowi dać stanowczą odpowiedź po jego powrocie, kiedyż ma wrócić?

— Za tydzień.

— A jakąż dasz mu odpowiedź?

— Lady Dynely, nie wolno ci pytać mnie o to. Gdy po upływie oznaczonego czasu Eryk powróci i zażąda jéj odemnie, odpowiem jemu samemu.

Lady Dynely puściła jéj ręce i odeszła z westchnieniem.

(d. c. n)

Opis do N-ru 23.

(*Dokończenie*).

N. 17. Ubranie dla małej dziewczynki. Niebieska kaszmirowa sukienka formą princesse, ozdobiona haftem płaskim i suto garnirowana białą bretońską koronką.

N. 19. Paltocik biały pikowy dla małej dziewczynki. Krój podług ryc. 29 i 30 w N. 19 Tygodnika Mód.

Falbanki haftowane 4—5 cent. szerokie i wązkie pikowe torsadki stanowią ozdobę paltocika. Pod garnirunkiem naszytym wzdłuż pleców przyszywa się pasek pikowy lub z wstążki kolorowej zapiętej z boku pod kokardą.

N. 23. Płaszczyk z pelerynką dla dziewczynki lat 3—5. Krój N. X, Fig. 58—60.

Płaszczyk z dymy angielskiej albo piki deseniowej, ozdobionej wstawkami i koronką nicianą, przykroić podług Fig. 58—59, rękawy podług Fig. 17, a pelerynkę mającą z przodu 22, z tyłu 26 cent. długości a 106 cent. dolnego obwodu podług formy do ryc. 47 w N. 19 Fig. 14, którą zmniejszyć trzeba odpowiednio do miar podanych.

N. 24. Bluzka ze spódniczką i majtki ze stanikiem dla chłopczyka lat 3—5. Krój jak do ryc. 25.

Forma majtek ze stanikiem dla chłopczyka od lat 3—7 jest jednakowa, cała różnica polega na wielkości którą podług wzrostu dopasować trzeba. Osoby nie mające wprawy w krajaniu, mogą model próbny wykroić z taniego kartonu i takowy dokładnie dopasować. Na modelu długość majtek z boku od paska wynosiła 33 cent., a dolna szerokość nogawic 30 cent. Forma karczka krajanego z podszewką, odznaczona jest linijką na Fig. 55 i 56 do ryc. 25. Na drobno zmarszczone przody bluzki potrzeba dwóch prostych kawałków materyału, mających 25 cent. szerokości a 20 długości, w których w górze wycina się okrągławy otwór pachy. Plecy stanowi takiż kawałek 40 centym. szeroki. Prostą spódniczkę 17 cent. długą a 125 szeroką marszczy się i łączy ze stanikiem paskiem 2 cent. szerokim. Model bluzki i majtek z szarego płótna, zdobiły plisy szafirowe 2 cent. szerokie.

N. 25. Sukienka z długim stanikiem i fałdowaną spódniczka, oraz majtki ze stanikiem dla chłopczyka lat 3—5. Krój stanika Nr. IX Fig. 55 do 57, krój majtek ze stanikiem Fig. 19 i 20.

Do długiego, gładkiego stanika przyszywa się spódniczkę w koło w równe fałdy ułożoną, mającą 21 cent. długości a 230 szerokości. Na lóźno przewiązaną szarfę, potrzeba prostego kawałka, tego co suknia materyału, mającego 16 cent. szerokości a 150 długości. Model odrobiony był z piaskowego beżu.

N. 26. Fartuszek z płótna lub zefiru kolorowego, przykroić trochę krócej podług formy do ryc. 27, ozdobić wstawkami wywodzonemi na tiulu i oszyć falbanką 12—15 cent. szeroką, oszytą szlakiem tiulowym. Napierśnik stanowią dwie zgrabne patki, połączone u dołu prostym, 5 cent. szerokim paskiem.

N. 27. Fartuszek ozdobiony haftem krzyżowym. Krój N. VII Fig. 47—49.

Biały batystowy fartuszek zdobią 2 i pół cent. szerokie paski, wyszyte ściegiem krzyżowym, bawełną kolorową, i falbanki 5 i 2 i pół cent. szerokie, oszyte wąziutką koroneczką. Od napierśnika idą proste wyszywane paski, oszyte falbanką i koroneczką, które przypina się na ramionach kokardami z kolorowej wstążki.

N. 34. Ubranie z vêtement paletocikowem i draperyą na spódnicy. Krój podług ryc. 16 w N. 19 Tygodnika Mód.

Model odrobiony był z szarego płótna i ciemno bronzowego perkalu, na którym wzdłuż sztuki dodany jest z jednej strony kolorowy szlak haftu maszynowego 22 cent., z drugiej 6 cent. szeroki; można także haft odrobić ręcznie, różnokolorowym jedwabiem, ściegiem długim i krzyżowym. Z poprzecznie wziętego bryta perkalu od którego odcięty jest szlaczek wązki, układa się draperyę na spódnicy, a szlaczek służy do przyozdobienia kamizelki i mankietów. Paltocik oszyty trzema pliskami mającemi razem 7 cent. i plisowaną falbanką 4 cent. szeroką, 6 cent. szerokie plisowanie przy spódnicy i rękawach zakończone bronzową wypustką. Guziki wypukłe złote

N. 36—37. Ubranie z vêtement paletocikowem i spódniczką bez draperyi. Krój paltocika podług ryc. 9—10 w N. 18 Tygodnika Mód. Deseń do wyszycia łańcuszkowego na dodatku z krojami Fig. 28.

Skromne, do podróży dogodne ubranie, odrobić można z kretonu, płótna albo beżu popielatego lub żółtawo piaskowego. Na kamizelkę i plisy do beżu użyć ciemniejszej materyi lub pekinu, do płótna lub kretonu odmiennego ozdobionego wyszyciem. Rycina 36 i 37 przedstawia z przodu i z tyłu ubranie z obcisłym paltocikiem zapiętym z przodu tylko paskiem i przy szerokim kołnierzu.

Spódnicę zakończa szeroka plisowana albo w podwójne kontrafałdy układana falbana. Na Fig. 28 podajemy próbkę deseniu zdobiącego ryc. 36, którem na modelu wyszyty był na granatowym kretonie włóczką crevel szafirową i białą. Plisa i kamizelka do ryc. 37 była z deseniowego materyału.

N. 40. Kołnierzyk marynarski dziecinny ozdobiony wstawkami 1 i pół centym. i szlakiem 2 cent. szerokim, robi się z cienkiego płótna na podszewce z szyrtyngu, podług formy N. XI Fig. 61.

N. 41. Kołnierzyk dziecinny ozdobiony wstawkami koronkowemi. Krój N. XII Fig. 62.

Kołnierzyk przykrawa się z podszewkowego muślinu, podług Fig. 62, na którym następnie daje się naprzemian 2 cent. szerokie paski płócienne wyszyte ściegiem krzyżowym, bawełną kolorową i wstawki koronkowe 1 i pół cent. szerokie, połączone pół cent. szerokiemi stębnowanemi listewkami, albo wązką pikową torsadką. Brzeg kołnierzyka oszyty szlaczkiem 2 cent. szerokim.

N. 42. Poduszka pod nogi, pokryta robotą „macramé,“ wiązana z szarego nicianego kordonku. Zobaczyć próbkę tła i frendzli na ryc. 8—10 w N. 22. Pod pokrycie wiązane daje się kolorową wełnianą lub jedwabną podszewkę.

Opis do N-ru 25.

N. 1 i 42 w N-rze 26 Tygodnika Mód. **Kostjum** krótki ozdobiony pletnią. Wzór kroju tuniki ryc. 42 w N. 26, forma stanika podług rycin 9 i 10 w N. 18 Tyg. Mód.

Spódniczka mająca 210 cent. dolnego obwodu, oszyta jest plisowaniem 20 cnt. szerokiem, z przestębnowanym nagłówkiem mającym 2 cent. Zwykłą spódniczkową tunikę szyje się oddzielnie, jako dogodniejszą do podróży od spódnicy fałdowanej i podpinanej. Przedni bryt tuniki litera a) zakłada się w 3 poprzeczne fałdy, zaszyte z brzegów i w środku, do 84 cent. długości; w brycie tylnym b) zakłada się tylko jedną poprzeczną fałdę w środku i zeszywa go się z brytem przednim. Duży wykładany kołnierz i mankiety 10 cent. wysokie, naszyte są pletnią 1 i pół cent. szeroką, która zdobi także tunikę i plisowanie przy spódnicy. Model odrobiony był z niebieskiego materyału, zwanego „toile de Mulchouse“ a pletnia wełniana koloru êcru naszyta była w tunice w odstępie 5 cent., po dwa paski 16 cent. długie. Kapelusz szafirowy z długim welonikiem z gazy jedwabnej takiegoż koloru.

N. 2 i ryc. 43 w N. 26. **Ubranie** podróżne z płaszczykiem. Krój płaszczyka podług ryc. 48 i 49 w N. 19.

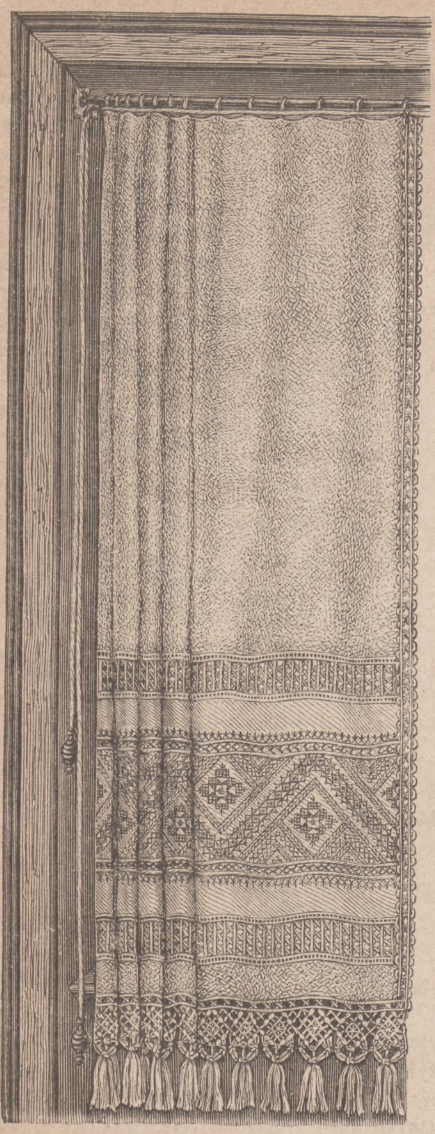
Płaszczyk z żółto piaskowego Mohairu, zapinany na guziki rogowe, łatwo dopasować podług formy do ryc. 48 w N-rze 19, dodając tylko z przodu karczek i po jednej 5 cent. szerokiej kontrafałdzie do przodów, na którą dopuścić w krajaniu materyału. Fałda powinna być przez całą długość zaszyta, a u dołu razem z płaszczykiem obrąbiona. Kapelusz czarny słomkowy ubrany czarnym atłasem szerokie rondko podszyte atłasem bufowanym.



N. 1—2. Ubrania podróżne.

N. 1. Krótki kostjum ozdobiony pletnią. Wskazanie kroju tuniki na ryc. 42 w N. 26. Krój stanika podług ryc. 9—10 w N. 18 Tygodnika Mód.

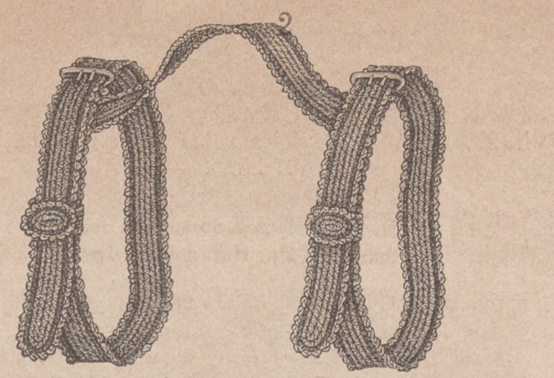
N. 2. Ubranie z płaszczykiem. Patrz ryc. 43 w N. 26. Krój płaszczyka podług ryc. 48—49 w N-rze 19.



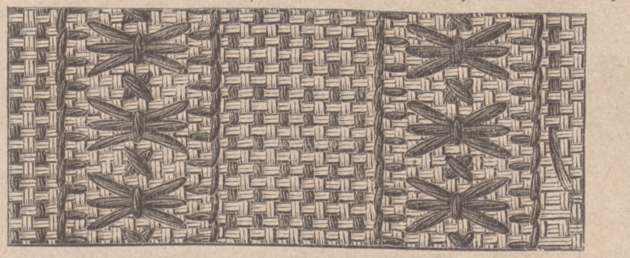
N. 17. Firanka zasuwana ozdobiona robotą macramé i szlakiem haftowanym. Wzór szlaku ryc. 8, próbki frendzli i wstawki ryc. 5 — 6 w N-rze 26.

N. 3—5. Pasek do pledu lub t p. przedmiotów. Robota szydełkowa na szpagacie nićmi ponsowemi i szaremi.

Na próbce ryc. 4 — 5 wskazujemy dokładnie sposób roboty i grubość szpagatu i nici. Tak troki 78 cent. długie, jak i łączący je pasek mający 38 cent, zaczynają się wzdłuż od środka łańcuszkiem, któren obrabia się w koło z podłożeniem szpagatu, trzy razy nićmi niewarowemi a raz ponsowemi, przybierając potrzebną ilość oczek w końcach zaokrąglonych.



N. 3. Troki do pledu. Robota szydełkowa na szpagacie. Rozeta do kółka r. 4, koniec troka w nat. wielkości r 5.



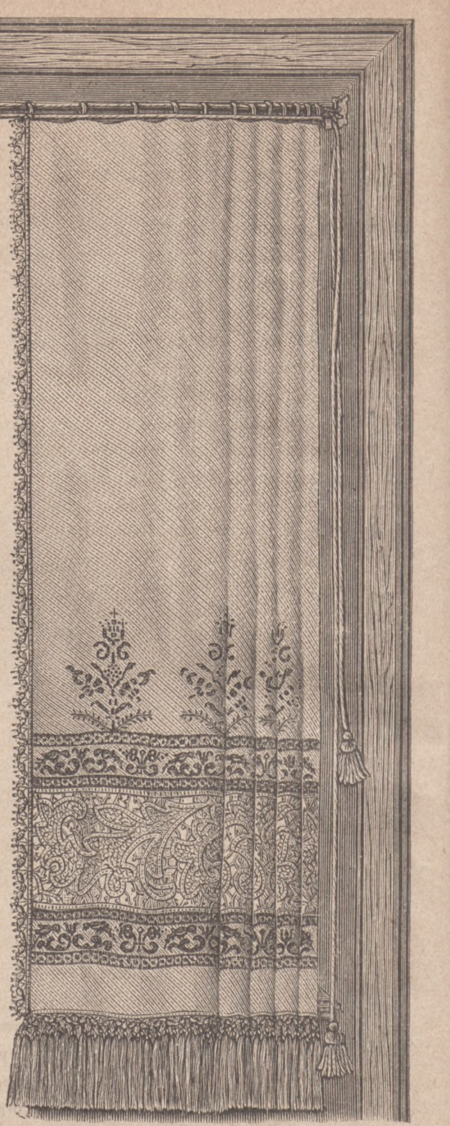
N. 8. Deseń do wyszycia włóczką kolorową na kanwie jawa, na kieszeń podróżną do szczotki ryc. 7.



N. 9. Kokarda z atłasu szkockiego do kołnierzyka.

N. 10 — 11 i 27. Przyrząd do gotowania z futerałem.

Do dłuższej podróży, zwłaszcza z małemi dziećmi, bardzo dogodny jest przyrząd do gotowania jaki podajemy na ryc. 10, któren chowa się w pudełko wskazane na ryc. 11, wyklejone w środku ceratą. Zwierzchu można pudełko okleić robotą na kanwie „de congres“ włóczką „crevel“ albo jedwabiem kordonkowym w dwóch kolorach do cieniu. Próbki nowego ściegu na kanwę podajemy na rycinie 27—30.

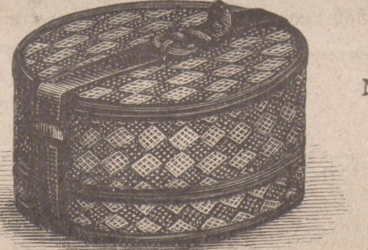


N. 18. Firanka zesuwana ozdobiona wstawką z koronki irlandzkiej, której deseń podamy na dodatku z krojami do N-ru 27—28, oraz szlaczkiem haftowanym ściegiem łańcuszkowym. Deseń szlaku ryc. 1 w N-rze 26.

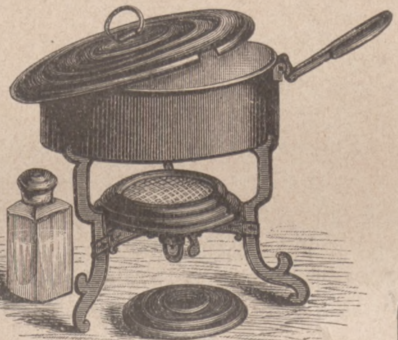
Ząbki zrobić nićmi szaremi, w jednym końcu zaszyć sprzączkę do zapinania; dziurek dawać nietrzeba bo trzpienie przejdą przez luźne oczy roboty. Do każdego troczka dodaje się kółko do przesunięcia końca, zaczęte na o. 32 i obrobione na szpagacie razy 6, wierzch kółek zdobią rozetki robione podług próbki rycina 5.

N. 9. Kokarda do krawatu z atłasu szkockiego.

Kokarda układa się na podwójnie złożonym kawałku sztywnego tiulu, mającym 3 cent. szerokości a 7 długości. Dwa pukielki 7 i 9 cent. długie a 10 szerokie i końce wachlarzowo ułożone z kawałków skośnych 6 cent. długich a 26 szerokich przewiązuje się węzłem od spodu podgarnirowywa koronką przymarszczoną przyszytą do kawałka muślinu.



N. 11. Futerał na przyrząd do gotowania r. 10 ozdobiony robtą na kanwie. Próbki ściegów na r. 27—30.



N. 10. Przyrząd podróżny do gotowania. Zob. futerał ryc. 11.



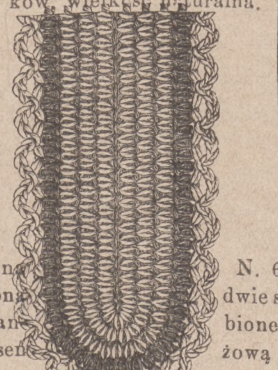
N. 16. Rękawiczka letnia jedwabna.

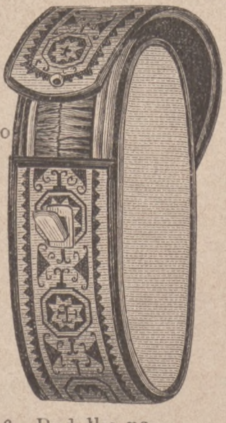


N. 4 Rozeta do kółka do troków, wielkość naturalna.



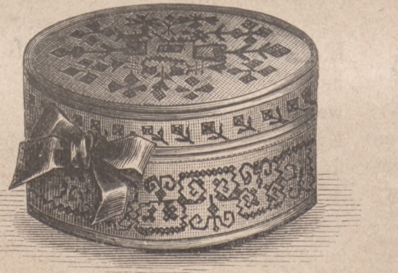
N. 7. Kieszeń na szczotkę, ozdobiona wyszyciem na kanwie jawa. Deseń ryc. 8.





N. 6. Pudełko na dwie szczotki, ozdobione robotą krzyżową na płótnie niewarowem.

N. 5. Zakończenie troczka do ryc. 3. Robota szydełkowa na szpagacie, wielkość naturalna.



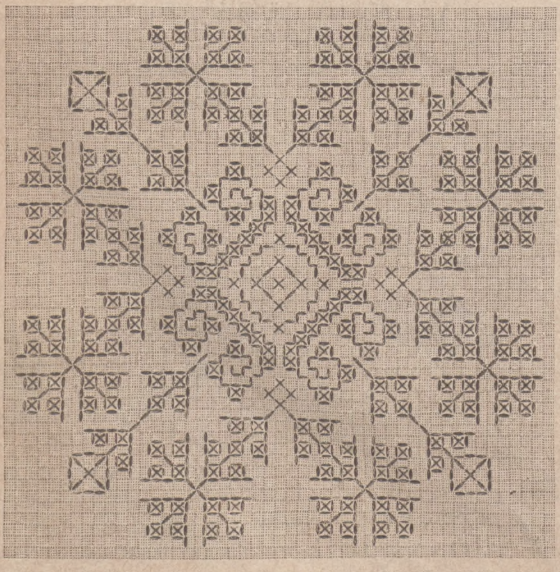
N. 12. Pudełko na kołnierzyki ozdobione wyszyciem na płótnie kanwowem. Desenie i próbki ściegów r. 13—15.

N. 12 — 15. Pudełko na kołnierzyki i mankiety ozdobione haftem.

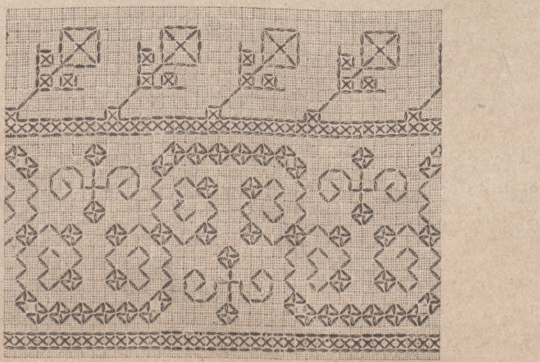
Tekturowe pudełko mające 15 cent. średnicy a 7—8 wysokości oklejone jest z wierzchu płótnem niewarowem, na którem jedwabiem karmazynowym w dwóch cieniach, wyszyty jest deseń podany na ryc. 13 — 15, gdzie dokładnie wskazane są rodzaje pośpiesznych ściegów.

N. 17—18 oraz **1—3** i **5—8** w N. 26. **Firanki** ściągane zastępujące rolety.

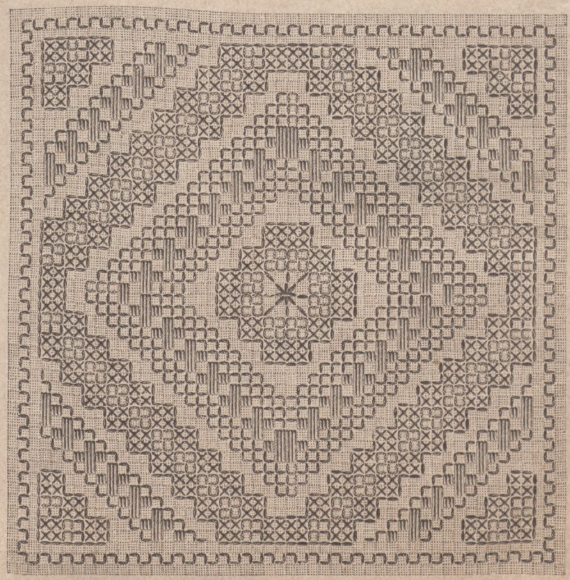
W miejsce rolet używane są obecnie firanki ściągane na kołkach, jako modniejsze i dogodniejsze. Robić je można z kolorowej materyi, z buretu, różnych wełnianych materyałów albo z płótna kolorowego. Można dać jedną szeroką albo dwie wązkie firanki, do których w górze przyszyte są kółka do



N. 13. Gwiazda na wierzch do pudełka ryc. 12. Ścieg podłużny i krzyżowy bawełną kolorową.



N. 14. Szlaczek na boki do pudełka ryc. 12. Robota na płótnie kanwowem bawełną kolorową.



N. 15. Kwadrat na dno do pudełka do ryc. 12. Ścieg gobelinowy, krzyżowy i podłużny.

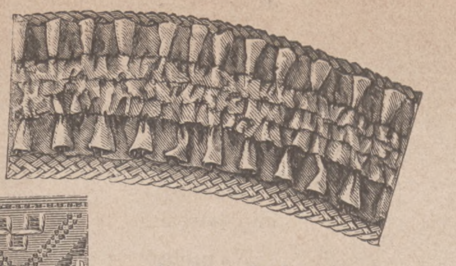
zawieszania na żelaznym pręciku i do zesuwania na bok za pomocą sznurków. Firanki powinny być trochę szersze i 6 centym. dłuższe od okna, stosownie do żądanego światła zasuwać je można zupełnie albo częściowo. Do przyozdobienia służyć mogą różne rodzaje haftu, kratek, koronki, albo robota wiązana (macrame). Rycina 17 przedstawia firankę z buretu, ozdobioną szerokim szlakiem haftowanym na płótnie żółtą filozelą, (którego deseń podamy na ryc. 8 w N. 26), wstawkami robotą macramé wszytemi między 3 centym. szerokieobręby i takąż frendzlą. Próbkę frędzli i torsadki do przedniego brzegu podamy w N. 26. Ryc. 18 przedstawia firankę z płótna écru z szeroką wstawką z koronki irlandzkiej i szlaczkami wyszytemi ściegiem łańcuszkowym bawełną niebieską i ponsową, deseń szlaku którego ściegi obliczają się jak w robocie krzyżowej, zobaczyć na ryc. 1 w N. 26, deseń na pojedyncze gałązki nad szlakiem górnym wybrać w dawnych numerach Tygodnika. Brzeg podłużny oszyć wąską koronką irlandzką z tasiemeczki medalionowej a brzeg dolny frendzlą macramé.



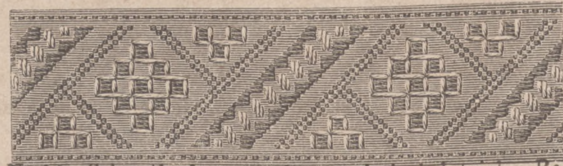
N. 19. Podszycie ronda do kapelusza ryc. 35 i 36 układane z atłasu skośnego.



N. 21. Szlaczek do sukien, fartuszków i t.p. Haft maszynowy.



N. 20. Podszycie ronda do kapelusza ryc. 35—36 układane z repsu jedwabnego.



N. 22. Szlaczek do naszycia na sukniach letnich. Robota maszynowa lub ręczna.



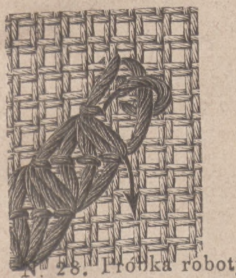
N. 23. Czepeczek negliżowy z denkiem przedłużonem. Forma czółka jak do r. 6 — 7 w N. 11. Przód na ryc. 24.



N. 25. Fartuszek angielski ozdobiony haftem krzyżowym.



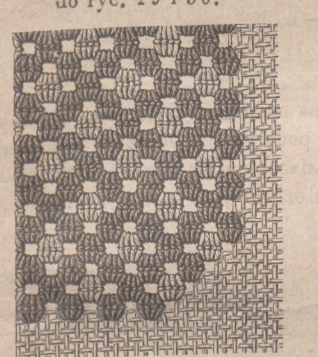
N. 24. Czepeczek negliżowy, przód do ryc. 23.



N. 28. Próbka roboty do ryc. 29 i 30.



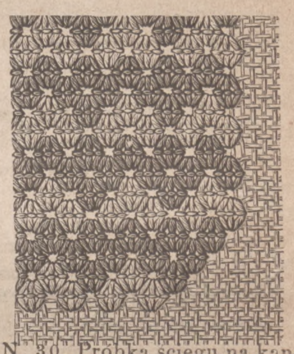
N. 27. Deseń do futerała ryc. 11.



N. 29. Próbka ściegu na kanwie, na poduszeczki, woreczki i t. p. Próbka roboty ryc. 28.



N. 26. Szlak kolorowy drukowany fabrycznie z konturami wyszytemi nitką złotą, śc. łańcuszkowym. Zob ryc. 30 w N. 28.



N. 30. Próbka ściegu na kanwie. Zobaczyć robotę na rycinie 28.

N. 23 — 24. Czepeczek negliżowy z karczkiem welonikowym fałdowanym. Krój czółka podług formy do ryciny 6—7 w N. 11 Tyg. Mód.

Czółko przykroić podwójnie ze sztywnego tiulu, oszyć go z brzegu agremanem i wązkim muślinowym paskiem. Czepeczek stanowi skośne, owalne, denko muślinowe, mające 45 cent. długości a 34 szerokości, w dolnym brzegu 12 centym. prosto podług nitki ścięte, od tego ścięcia w górę z brzegów także podług nitki prosto na 20 długości przykrojone, a w środku poprzecznego ścięcia 14 centym wzdłuż przecięte. Takie denko obrębia się z brzegów wązko, oszywa w koło drobno plisowaną bretońską koronką, 3 cent. szeroką, zakłada w górze gdzieniegdzie w drobne fałdki i przypina do czółka tak ażeby koronka za takowe wystawała. Z tyłu denko zbiera się w fałdy, spięte kokardą z kolorowej wstążki w sposób na ryc. 23 wskazany, a welonikowy karczek układa się z brzegów w fałdy wachlarzowe. Garnirunek z przodu stanowią dwa paski muślinowe 13 cent. długie, a 2 i pół szerokie w jednym końcu prosto, w drugim śpiczasto ścięte, w koło plisowaną koronką oszyte i w ten sposób ułożone, w środku nad czołem, że jeden obrócony jest końcem śpiczastym, drugi zachodzi na niego końcem prostym. Na tym garnirunku przypięta zręczna kokarda widoczna na ryc. 24.

N. 25. Fartuszek angielski ozdobiony haftem krzyżykowym.

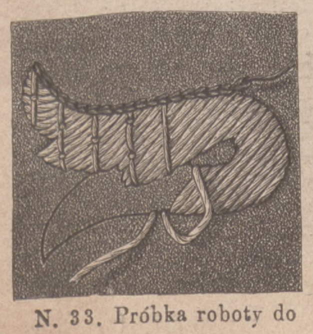
Fartuszek używany w Anglii przy nalewaniu herbaty, robi się z prostego bryta białego batystu, mającego 90 c. długości a 47 i pół szerokości, wywiniętego w górze 42 cent. na wierzch. Brzegi fartuszka zdobi stębnowana 1 cent. szeroka listewka, pod którą wszyte są u dołu szlaki krzyżykowe 10 cent. szerokie, a przy brzegach podłużnych wązkie szlaczki kolorowe. Te ostatnie u spodniej części fartuszka obrócone są na zewnątrz a u zwierzchniej na wewnątrz. W górze przy wywinięciu, 11 centymetrów od brzegów przyszywa się szarfy do wiązania.



N. 31. Szkatułka na toaletę lub biórko. Haft „renaissance." Deseń naturalnej wielkości na ryc. 32. Deseń na ściany boczne na dodatku z krojami do N. 27 i 28, Fig. 21a.

N. 27 — 30. Próbki ściegu do roboty na kanwie, na torby podróżne, poduszki lub t. p.

Ryc. 28 wskazuje dokładnie sposób wykonania nowego ściegu, który robić można na kanwie zwyczajnej cienkiej lub grubszej, na kanwie jawa lub płóciennej, włóczką lub kordonkiem jedwabnym w dwóch dobrze dobranych cieniach, albo dwóch lub trzech kolorach niecieniowanych. Ściegi podłużne zajmujące 4, 6, lub 8 nitek, bierze się wszystkie w jedną dziurkę, a w środku przewiązuje się każden ścieg oddzielnie na jednej nitce lub jednym krzyżyku, w sposób wskazany na próbkach.



N. 33. Próbka roboty do ryciny 33.



N. 32. Czwarta część deseniu na przykrycie do szkatułki rycina 31. Haft renaissance robiony pelą albo włóczką rozkręconą. Próbka roboty na ryc. 33.



N. 34. Garnirunek z ruloników atłasowych do ryc. 54.



N. 36. Kapelusz z florenckiej słomki przód na ryc. 35.

N. 31 — 33. Szkatułka na toaletę albo biórko, ozdobiona haftem „renaissance."



N. 35. Kapelusz słomkowy i chusteczka z indyjskiego muślinu. Patrz r. 36 garnirunek na ryc. 19—20.

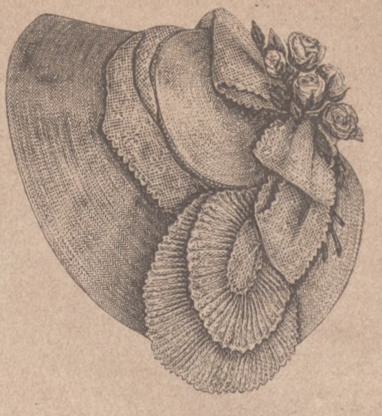
Szkatułkę tekturową mającą 36 cent. długości, 24 szerokości a 9 wysokości, której przykrywa zachodzi na wierzch aż do dna, zdobi haft kolorowy w guście „renaissance" robiony ściegiem płaskim i łańcuszkowym, na suknie albo innym podobnym materyale. Haft robi się włóczką lub filozelą w dwóch cieniach tego co tło lub innego stosownie dobranego koloru, odznaczając wszędzie ciemniejsze kontury ściegiem łańcuszkowym, a tło jaśniejsze zapełniając ściegiem długim, w równych odstępach przewłóczonym poprzecznie pojedynczą nitką. Do włóczki nitki poprzeczne dają się filozelą, a do filozeli złote, przeszyte drobnemi ścieżkami, jedwabiem odmiennego koloru. Na r. 32 podajemy $1/4$ część deseniu na wierzch przykrywy, szlaczek na boki podamy wkrótce. Taka szkatułka na biórko służy na różne notatki lub papiery a na toalecie do chowania drobnych przedmiotów do ubioru.



N. 38—40. Modne pończochy ozdobione haftem krzyżowym.

N. 35—36 i ryc. 19—20. **Kapelusz** z włoskiej słomy i chusteczka z indyjskiego muślinu.

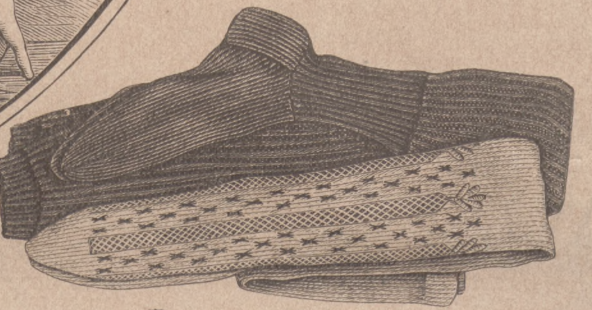
Rondo 8 cent. szerokie podszyte drucikiem, wygina się w sposób na ryc. 35—36 wskazany i podszywa od spodu garnirunkiem z paljowego atłasu lub faille, ułożonym podług nieco zmniejszonego wzoru na rycinie 19 lub 20. Paljowe strusie pióro 54 cent. długie przypięte na rondzie gałązką liści różanych do cieniu.



N. 37. Duża pasterka z florenckiej słomki Przód na ryc. 9 w N. 26.

Wstążka paljowa 6 centym. szeroka i róże mchowe z tyłu pod rondem przypięte, dopełniają ubranie kapelusza. Chusteczkę układa się ze skosu muślinowego, mającego 160 cent. długości a 50 szerokości, w końcach trochę śpiczasto ściętego i oszytego plisowaną koronką bretońską lub wywodzoną na tiulu, 7 i pół cent. szeroką. Następnie muślin składa się wzdłuż w ten sposób, ażeby część spodnia 3 i pół do 4 cent. wystawała. Z tyłu w środku sfałdować chusteczkę aż do zwierzchniej koronki do 2 cent. szerokości, a końce przewiązać lub spiąć jak się podoba.

N. 37. Kapelusz wielki słomkowy, ubrany szarfą tiulową oszytą koronką i bukietem róż różnokolorowych.



N. 41—42. Modne pończochy ozdobione haftem krzyżowym.

N. 38—42. Pończochy różnokolorowe ozdobione wyszyciem krzyżykowem.

Obok różnokolorowych pończoch jedwabnych lub bawełnianych, gładkich w paski lub kratkę, modne są obecnie pończochy mienione, np. białe z czarnem lub niebieskiem, orzechowe lub piaskowe z niebieskiem lub t. p. takie pończochy niepowinny być wyszywane, ale na pończochach jednokolorowych, jeżeli nie są haftowane fabrycznie, modne jest wyszycie krzyżykowe odmiennym kolorem, np. ponsowe na czarnych, niebieskie lub inne na białych.

(dok. nast).



N. 46. Sukienka bluzkowa dla małej dziewczynki, ozdobiona haftem krzyżowym.





N. 47. Sukienka dziecinna z fałdami ozd. haftem krzyżykowym.



N. 48. Szlaczek do sukien letnich, haft gobelinowy.

N. 43. Ubranie ze stanikiem z długą baskiną i tuniką.

N. 44. Ubranie z draperyą szalową.

N. 45. Bluzkowa sukienka dla małej dziewczynki, ubrana rulonikami. Zobaczyć ryc. 46 i 34.



N. 49. Szlaczek do sukien, fartuszków i t. p., ścieg gobelinowy.